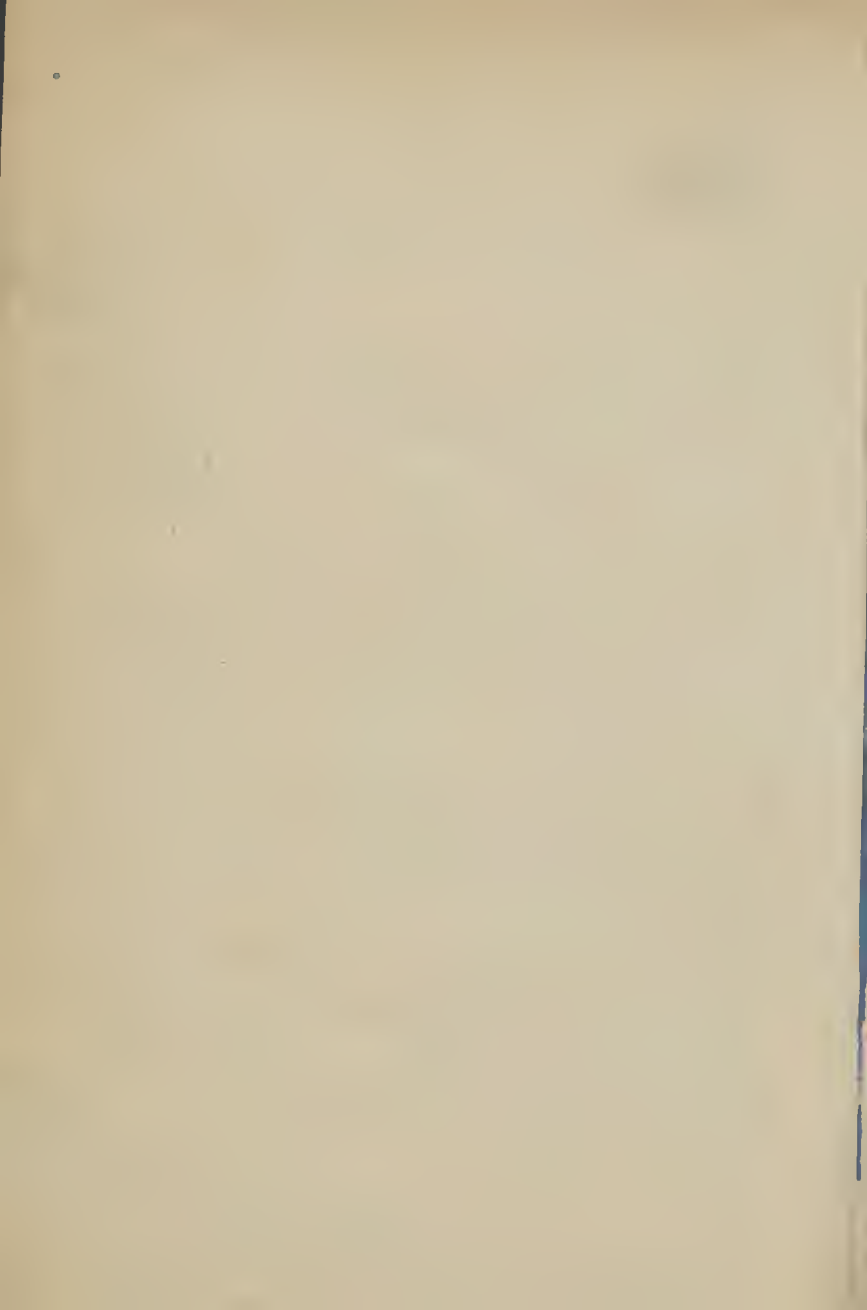




103



ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

---

Wydanie nowe, przejrane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom dwudziesty-pierwszy.

*Konstancja Salaszkiewicz*



# ŁADOWA PIECZARA

OBRAZEK WIEJSKI

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

*Amplius invenies in silvis,  
quam in libris.*

S. Bernardus.

---

Wydanie nowe. przejrzone i poprawione przez Autora.

L W Ó W.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta  
przy placu św. Ducha l. 43.

1872.

W A R S Z A W A.

W księgarni Michała Glücksberga.



---

Nakładem Bogosza, Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.  
Drukiem Kornela Pillera.



DO  
MEGO KOCHANEGO BRATA  
KAJETANA  
KRASZEWSKIEGO

W ROMANOWIE.

W zamian za twoje pieśni, posyłam ci, kochany  
Kajetanie, powiastkę, na jaką mnie stało. Nie wiem jak  
się ona ludziom i tobie podoba, ale to pewna, że ten  
drobny dar ofiaruję ci braterskiem sercem, braterską  
dłonią. Przyjm go jako dowód szczerego przywiązania  
do ciebie.

Twój

**Józef.**

9. października 1851.

Hubin.



Mało mamy do powiedzenia o „Ładowej Pieczarze“, natchnionej oglądaniem tajemniczych podzamkowych chodów w Chociniu, na Wołyniu, o których dziwne krążyły podania. Jeździliśmy tam umyślnie z przyjacielem naszym, ś. p. Kazimierzem Komornickim, i... materiały tylko do opowiadania tego zdobyli. w rozmowach po drodze, których powieść jest echem odbitem... I to też historia przeszłości, stosunków patryarchalnych, po których dziś zostało tylko wspomnienie... Sto lat nas od tego świata dworu, wioski i gromady a pana przedziela... Z pewnych względów moje opowiadanie to. jak *historja kołka w płocie*, nazwać się może materiałem do dziejów przeszłych społeczeństwa naszego. *Et haec olim meminisse juvabit.*

J. J. KRASZEWSKI.



Niedaleko Oleska, sławnego urodzeniem Jana trzeciego i Podkamienia, niemniej głośnego cudownym obrazem, bliżej jednak granicy, która nas od Galicji przedziela, leży niewielka wioska, zowiąca się Stare. W istocie jest to może jedna z najdawniejszych osad w tej okolicy, częstemi najazdami Tatarów zniszczonej, bo i dzieje wojenne XVI. i XVII. wieku wspominają o niej kilka razy, i miejscowe ślady dowodzą, że nie od dziś skupili się tu ludzie do życia, pracy i cierpienia wspólnego. Ma ona wszystkie znamiona odwiecznego siola: otoczona mogiłami w różnych kierunkach, rozsypanemi pojedynczo i gromadnie, na których już potężne drzewa porosły; wśród zarośli i błot, ma zapadłe, ale jeszcze dobrze widoczne horodyszcze, gdzie i dziś dobywają czasem kamienne siekiery i spisy; a nazwania uroczysk tutejszych wieją wspomnieniami odległej przeszłości. Tak w lasach wyniosłość jedna zowie się Ładowym gajem, inna Lelową kontyną; dolina nie opodal od wioski nosi miano Wiecowego dębu; w gajach też, które grunta wsi okalają sznurem gęsto zarosłych dębów, klonów, lip i brzeziny, rozrzuconych w części po wzgórzach, w części na równinach, są ślady pieczar ręką ludzką wyłobionych i nie-

zmiernie daleko rozciągających się, są reszty odarnionych usypów jakichś i omszonymi kamieniami wysłane smętarze. Sami mieszkańcy osady różnią się wielce nawet od najbliższych swoich sąsiadów, tem zwłaszcza, że się u nich zachowały zapomniane gdzieindziej zwyczaje, podania i obrzędy dla nas już niepojęte, ze czcią i troskliwością szczególną z pokolenia w pokolenie przekazywane. W twarzach wieśniaków ze Starego maluje się jakaś powaga smętna, którą przyjęta puszczuła przeszłości na lice żywych pokoleń przelewa; jakieś uczucie godności własnej, gdzieindziej przytłumione, tu wybitne; rzekłbyś tajemnicza jakaś wiedza o przebytych losach świetniejszych, o zagasyłych w zamierzonych już dla wszystkich dziejach, dniach blasku, o których złota nie podania przełała coś wnukom na pociechę w niedoli i upadku. Nikt się tu przecie nie pochwali z niczem, owszem skarb swój cenny ukrywa w głębi duszy, ale radość posiadania go, tryska z oczów, oblewa czoła poczeiwą jakąś dumą spokojną.

Strój tutaj ten sam co na sąsiednim Wołyniu i Rusi pobliskiej, niczem się wybitnem nie różni, krom może użyciem czerwonych obszewek, pasów i ozdób stalej tu i wyłącznie noszonych, a surowszym krojem, do którego się nie świeższego, nie nowego wymysłu nie domiesza. Mężczyźni nie kupują po miasteczkach nie gotowego i na tańdety sporządzonego, nie przywołują wędrownych krawców, by im szyli misterniejsze swity na kształt kapot mieszczańskich; w kilku rodzinach od pradziadów utrzymuje się krawiectwo dziedziczne, a szycie i wdziwanie nowej siermugi dopełnia się z pewnemi tajemniczymi obrzędami. Kobiety nawet na dnie powszednie nie pozwalają sobie chustek i kryją głowę pod starodawną

namiotką ściśle twarz opasującą, której zarzucenie, długość końców, wzorzyste szycia i najmniejsze ozdoby mają jakieś znaczenie i formę odrębną, niezmienną. Słowem, zachowała się tu więcej niż wszędzie cześć dla przeszłości, znać ją w obyczajach nawet, znać w spełnianiu najcięższych obowiązków, od których nikt się wyłamać nie może: a komu one za straszne, ten się wynosi i wygania na zawsze, bo inaczej wolen od nich być nie może. Rzadkie są jednak przykłady dobrowolnego wygnania.

Gdzieindziej duch dawnej gminy słowiańskiej zupełnie już zwietrzał i uleciał; gromada, choć się jeszcze mianuje wielkim człowiekiem, wedle znanego przysłowia Rusi, nie poczuwa się do spójni braterskiej i nierozzerwanego związku: tu z zadziwieniem trwa jak za starych wieków, i wszędzie się czuć daje, przy każdej pojedynczego człowieka czynności. Znaczenie starców większe jest niż gdzieindziej, uchwała ich nie znajduje oporu u gromady, a wola spełnia się w cichości ze ślepem posłuszeństwem. Ten, od którego mam następującą powieść, postrzegał także, iż w Starem od niepamiętnych zapewne czasów istniejąca, trwała pogańska jeszcze może jakaś instytucja, w skutek której był zawsze we wsi jeden głową i naczelnikiem gromady. Szanowano go jak urzędnika, niemal jak kapłana: a z kilku, o których się domyślano, że takimi starszymi byli, choć często z najuboższych pochodzili rodzin, żadnemu nie zbywało na osobistych przymiotach, które ten wybór (jesli jaki był) zupełnie niesprawiedliwić mogły. Urząd to nie był jawny, głowa gminy bowiem niezem się nie odznaczał od braci, spełniał owszem wszystkie obowiązki względem dworu i kraju na równi z innymi, nie okazywano mu widocznie

żadnej czei szczególnej, jednakże w każdej ważniejszej sprawie ogół obchodzącej, biegli tajemniczo do niego i nie się bezeń nie stało. Zapytany, nikt się nie przyznał, żeby miał obowiązek jakiś do starszego się odwoływać, widocznem jednak było dla pilniejszego oka, iż gmina czekała jego rozkazów. Kiedy go przypadkiem w chacie nie było, zwlekano różnemi sposobami, dopóki nie powrócił, choć nikt nie mówił o tej władzy, którą nad sobą uznawał. Usilniej badani mieszkańcy Starego, wypierali się przed obcymi i narad i zwierzchnika swego.— Ot, zwyczajnie—mówili—poradziły się czasem siwych, bo to u nich taki przecie z wieln lat przebytych coś pozostać musiało, wiedząc oni jak się co poczyna i jak się kończy, przeżyli wiele.

Potem cichaczem o zmrokn schodzili się starcy do naczelnika, gdy powrócił, i nazajutrz gromada jednogodnie już wiedziała co począć, a nikt ani na żart nie sprzeciwiał się postanowieniu ogólnemu.

Szczególnym trafem wieś, o której mowa, od lat niepamiętnych zostawała w imieniu Stareńskich, którzy widocznie od niej nazwisko swoje wziąć musieli. Gdybyśny z dawnemi heraldykami naszymi przypuścić mogli, że są charaktery odróżniające całe rodziny szlacheckie —bo to była wiara kilkun wieków u nas, że rodem kurki cznbatę — Stareńscy doskonaleby to założenie poparli. Z ojca w syna byli to ludzie bardzo do siebie podobni naturą: spokojni, poczeiwi, łagodni, nie pragnący wiele, a wszyscy myśliwi namiętni. Dziwnym losów wypadkiem, w przeciągu lat trzechset żaden Stareński więcej nie miał nad jednego syna, i z kolei tak syn po ojcu spokojnie wioskę dziedziczył. To także dziwne, że żaden z nich, pomimo że się poświęcali z innymi razem służąc krajowi



życiem i mieniem ochotnie, nie stracił ojcowizny, ani jej nawet nadwerżył, choć się prawda nie też i dorobić nie mogli. Stare trwało w ich rękach nie odłużone, nie podzielone, w dawnych swoich granicach, zdając się urągać sąsiednim majątnościom, które co lat kilka szły na sprzedaż, kawałkowały się, mieniały panów i przechodziły z rąk do rąk. Stareńscy trochę tem byli dumni, a może ten rodzaj dumy zbawiennie na nich działał, wzbudzając przywiązanie do starego gniazda i wlewając zawczasie przekonanie o potrzebie, o konieczności zachowania spadku całym i nienaruszonym. Nigdy też żadnemu z uich na myśl nawet nie przyszło, żeby mógł wioskę sprzedać, tak się im zdawało niepodobnem, by ją kto inny posiadał; i gotowi byli do największych ofiar, byle nie ruszać się z siedziby uświęconej pocziwym żywotem pradziadów, usłanej ich kośćmi, polanej krwawym ich potem. Wieki posiadania zadzierżgnęły silnie węzeł serdeczny między rodziną panów a włościanami. Stareńscy byli łagodni i pocziwi, lud też ich otaczał poszanowaniem, miłością i uważał za starszą bracią tylko. Od niepamiętnych czasów żaden z wieśniaków woli się ich nie sprzeciwił, prawda, że i oni nie nigdy nie żądali nad słuszną należność, ograniczoną jeszcze wyrozumialemi względami na stan, położenie i okoliczności. Często bardzo lata głodu i nieurodzaju na Wołyniu, tu się czuć nie dawały: pan miał sobie za obowiązek ratować wioskę, wioska byle się obejrzała, że panny nie dostawało, wysyłała zaraz do dworu z ofiarą chętną, serdeczną i tak usilną, że się od niej nie sposób było wymówić.

Ten stosunek na wzajemnem przywiązaniu ugruntowany, dawał się czuć we wszystkim; robót gospodarskich nikt prawie nie doglądał ze dworu, bo sami starsi

gospodarze mieli oko na młodszych i nie pozwalali im się opuszczać: nie wiele nawet rozporządzać było potrzeba. bo w gorącej porze co żyło roilo się do roboty ochoczo. żywo. gromadnie, nie pilnując dni i godzin, byle co rychlej panu zrobić co potrzeba i uspokoić go.

Ciche. jednostajne. spokojne. szczęśliwe powiem prawie wiodło się tu życie: nigdy go nie zasmuciła zbrodnia. występki. niechęć. gniew i walki, których tak wszędzie po świecie pełno. Oko wszystkich pilnowało każdego. a każdy też czując na sobie obowiązek przedstawienia ogółu w jak największym blasku. strzegł w sobie cząstki poważanej całości. Bóg dał temu ludowi panów. co go i cenić umieli i sercem przyłgnęli do niego.

W ostatnich czasach. gdy się powieść nasza zaczyna. Stare wyglądało na to, czem w istocie było. na dawną a szczęśliwą osadę: pierwszy rzut oka przekonywał o jej zamożności, o dobrym bycie wszystkich, a widok tej wioski okrytej zielenią. gajami i sadami, schludnej, zabudowanej porządnie. wzbudzał mimowolnie ciekawość i zajęcie: wyrывał westchnienia nie jednego wędrowca zabłąkanego w ten ustronny kątek.

Wieś leżała po dwu stronach dość głębokiego parowu. którym toczyła się droga: rozsypana była po wzgórzach, a tak osłonięta gęstwiną drzewy, że ledwie gdzieś niedzie ujrzałeś róg stodółki. białą ścianę chaty, wysoki żóraw studni. lub żółtą czapkę małej stertki w toku wieśniaka.

Ścieżki malownicze, kręte, na tle zieleńszem migające gliniastemi barwami, wiły się ku górze w różnych kierunkach. gdzieś niedzie obwarowane poręczem. lub wysłane schodkowanemi złomami wapienia. W jednej

stronie wsi na pagórku, ciemnych lip koło na wyżynie, domyslać się kazało dworu. w drugiej błyszczał niewielki kościółek podparty szkarpami. na pół z cegły. w pół z kamienia wzniesiony, widocznie bardzo stary. Osłepłe dziś strzelnice. wąskie okna. spiczasty dach i wieżycy nie bielona. nderzały fizjognomją czasów odległych. Stał on na wzgórzu oberwanem i przeglądał się w zwierciadle dużego stawu. którego nieregularne kształty i kapryśne wygięcia podobnym czyniły do wielkiej rzeki. Nieopodal zaraz szumiał młyn czarny. osiadły na wyjedzonych od wody palach. o jednym kółku. ale niedźwiadek mruczący ciągle. od wylewów wiosennych do późnej jesieni. mrużący przez zimę całą. którego woda ani podtopić nie mogła. ani mu też jej kiedy zabrakło.

Dwor stał otoczony wałami i choć nie miał już najmniejszego do zamku podobieństwa. lud go nazywał zamczyiskiem po staremu. lub herodkiem, jak przed wieki. Stare lipy rozrosłe po zielonych usypach, wiankiem okalały domostwo niskie, szerokie, z piętrowym dachem i dwoma gankami; obok niego była kuchnia po staroświecku jeszcze sklepiona z olbrzymim przysadzystym kominem. oficyny i skarbczyk. zapewne pozostałość z owego mytycznego zamku. bo i kształt jego i położenie wydawało. że był dawniej narożnym bastjonem. Pół okrągły z małeńkimi strzelnicami w wyższej swej części. ciemnej od dołu i jednemi tylko opatrzoney drzwiami. dzielił się na trzy izby sklepione. z których górna służyła ua skład sprzętów. dolna za wnijsie do lochu i ua piętro. a ostatnia była po prostu piwnicą. Spiczasty dach gontowy, mocno już podziurawiony, okrywał jeszcze jak mógł silne sklepienie. które nie wiele dbało. że mu czasem deszcz dokuczał. Na samym

wierzechołku chorągiewka herbowa Stareńskich, choć zerdzawiała, powiewała jeszcze czasami, gdy silniejszy wiatr ją obudził.

Naprzeciwno samego dworu, w próżni między dwoma końcami wału, był także ślad grubego muru, zapewne starej bramy zamkowej, lecz zamiast mostu zwodzonego, na fosie już usypana grobla wiodła ku górze. Woda, widać dawniej z niedalekiego przyprowadzona stawu, teraz zupełnie była wyschła i prócz kilku głębszych kałuż, deszczem podsycanych, wszędzie zielona murawa uścielała przekop, tu i ówdzie gęstymi krzakami łoży porosły. Stary dworzec był jak wiele innych naszych domów starych, w pół murowany, na pół drewniany, krzepki jeszcze i trzymający się prosto, mimo lat, które pamiętał... były w nim i owe sieni ogromne dla czeladzi przyjezdnej i komnatki nie wielkie dla gospodarzy i alkowy i bokówki i zakomórki różne i kapliczka nawet do jednego końca od ogrodu przylepiona za któregoś Stareńskiego, co paraliżem tknięty, do kościołka na mszę świętą dojść ni dojechać nie mógł.

Na wałach z tej strony ku stawowi rozciągał się obszerny ogród na kondygnacje założony, i sad wzrosły bujnie, ale cały z drzew zbyt już postarzałych. Widoków było mało, ale też w owe czasy myśmy widoków z domu nie potrzebowali; napatrzył się dość świata człowiek wycierając go z szablą w rękę, a gdy do siebie powrócił, to mu milej było w zielonej zaciszy ukrytemu odpocząć. Dziś wcale inaczej: patrzymy daleko w boży świat, patrzymy próżnując z założonemi rękoma w siną dal, jak gdybyśmy chcieli, żeby z niej do nas co przybieciało, i lubimy widoki z okna, bo się po nie dalej nie pokwapim sami... musim je sobie do izby sprowadzić.

W jedną tylko stronę między drzewa, oko wybiegnąć mogło... a tu widać było gumna, stodoły, spichlerze i zabudowania gospodarskie. Dziedziczna izba gospodarska, którą zajmowali jeden po drugim Stareńscy, wychodziła właśnie jedynem oknem swem w ulicę wiodącą na toki.

Takim był dwór. taką wieś była, ale jej jeszcze nie znacie, boście ją widzieli jakby we mgle i zdala rozwieszoną na pagórkach, okrytą drzewami. Cudneż to było sioło, jakie Bóg tylko posiał po Wołyniu i to nie wszędzie. Innym braknie lub wody, lub lasu, lub ziemi dostatku, że się u drugich zapożyczają i kłaniać muszą sąsiadom: tu wszystkiego w bród było, bo i paliwa i buduleca, i wody czystej a zdrowej dla ludzi i chndoby, i urodzajnej, czarnej, pocziwej ziemi szmat taki, że jej obrobić nie było podobna; a jakby na świadectwo żyźności, rodziły się po miedzach i pod płotami bodiaki w chłopa. rzekłbyś owe kaktusy kolczaste, które oglądałeś może na malowanych krajobrazach Algeru i Sy-cylji. W sadach grusz i śliw jak w lesie, a i las miał też owoce swoje, i gdy przyszła Boża wiosna to od czeresni zakwitłych jakby go mąką posypał; a w czerwcu potem jagód było dla ludzi, dla ptaków i dla robaków nieprzejedzonych. A bór też to kochany! czego w nim brakło? Jakby go malarz sadił, jakby Bóg nim stracony raj chciał przypomnieć; dęby odwieczne pogarbhione i połamane, jak dziadowie, brzozy powyginane gdyby dziewczęta w tańcu, i przysadziste, poważne, wonne lipy i graby z gładką korą a gęstym przepysznej zieleni wieńcem, i osiki wysokie a wyprostowane w popielatych sukienkach, miejscami nawet przybłąkane z daleka jakby z musu rosła daleko od swych towarzyszek sosna, zimą i latem strojna jak na wesele. Między tą starszyzną

leśną, co pokaleczonych czereśni, co krzywych jabłoni i grusz, a dołem ile prześlicznej niepoliczonej drobnoty! króluje tu głóg, tarnina, orzech, trzmielina, kaliny i jarzęby, a niżej jeszcze kwiecia jak na ołtarzu na Zielną. I jakie tam kwiaty! nie mają takich pańskie ogrody, pyszniące się zagranicznymi przybyszami... lecz któż bogactwo ich i różnorodność wyliczy! wszedłszy w gaje. już się nie chce wychodzić, taki tu jakiś szmer do serca przemawiający. taki chłód ożywczy, taka woń rajska, tak oko lubuje się w obrazie Bożej ręki nieskończonym różnorodnością, choć na wejście jedną szatą okrytym.

Gdziekolwiek zielone pod dębami rozścielające się łąki, wśród których u pni spruchniałych bsnają młode odrośle, dopominając się o swoją dawniej ziemię; to znów gęszcz nieprzejrzana, w której ciemniach tajemniczych gubi się ciekawe oko; dalej parów, a na jego ścianach wieńcami zwieszane chmieie i wonne białe powojki... to góry różnych kształtów piętrzą się nad głową i rozstępują nagle pod nogami poszarpane przez potoki odsłaniające rozpadliny. Idziesz zamyślony, zapatrzone, tęskny a szczęśliwy, a gdy rozsuna się przed tobą drzewa i światło słoneczne buchnie ci w twarz, a żar dzienny obleje twe ciało. to się obejrzyś za lasem jak za domem i potękniesz za nim, a pola wydadzą ci się smutne i nagie.

Lasy są jak marzenie i począł ziemi. rolę czarnej jak rzeczywistość naga i smutna.

Stare było tak piękne, jak rzadko wieś która. i właśnie taki je gaj prawie ze wszech stron otaczał, po nad granicami rozstawiwszy się na straży.

Jak to u nas najczęściej, nie w pośrodku ale ku jednemu bokowi bliżej granicy swej, rozłożona była osada,



a wioska łączyła się ogródkami z lasem co ją opasywał i od sąsiada oddzielał.

W tem spokojnem ustroniu, które na szczęście jego może nie przerzywał żaden gościniec większy, żadna droga handlowa, wrzawę i żywot miejski niosąca, a z tym żywotem zepsucie... kilka pokoleń wieśniaczych i kilka pokoleń dziedziców, przemarzyli i przepracowali długie lata w niezamąconem szczęściu i pokoju, na jednym smętarnu kładnąc się na wiekuisty spoczynek, przykryci jednemi kamieniami, na których siadali za życia obok siebie. I darń równie zielona i bujna wieńczyła mogiły panów i wieśniaków rzędem sypane przy sobie.

Dom państwa Stareńskich miał naówczas głową swą paną Joachima, już nie pierwszej młodości człowieka, który przeciwko zwyczajowi swych przodków jakoś leniwo brał się do ożenienia. Prapradziad, pradziad, dziad i ojciec, wszyscy w dwódziestym szóstym roku życia poczuli wolę Bożą i postarali się o pocziwe połowice: panu Joachimowi jakoś od dnia do dnia trudniej było o postanowienie.

Wziął on w spadku po ojcu zamiłowanie myślistwa nadzwyczajne, do którego że od dziecka się wdrażał, tak wreszcie opętał go ten nałóg, że o niczem innem nie myślał, do niczego innego już czasu nie miał, tylko do polowania. Odumarli go młodym bardzo rodzice, kiedy ze szkół zaledwie wychodził: zostawiony sam sobie, bo opiekun pocziwy człowiek ale pospolity, o nic się nie troszczył, tylko ażeby jego pupil majątku nie stracił... oddał się pan Joachim namiętnie łowom, do których wszelki przybór, zapasy i ułatwienia znalazł w domu. Gniazdo gończych chartów i wyźłów najstawniejsze było w Starem i najtroskliwiej utrzymywane od niepamiętnych

czasów; konie miał w stadzie prześliczne i wyborne, strzelb nie brakło na ścianie, a ludzie dworscy zachęcali do łowów, bo sami lubili je nałogowo, nawykłszy do nich za starego pana.

Tak pan Joachim przepolował dobrych lat kilka, ledwie się rzadko za dom ruszając i to chyba z musu, a gdy mu przyszło tydzień jaki przebyć nie słysząc gonn swych piesków i nie odetchnąwszy wolnem lasów i łąk powietrzem, to żółkł, nudził się, chorował i ziewał, a tak potem spieszył do Starego, że nie raz konie poochwacał. Nazajutrz rano odzywała się trąbka w ostępie i cały już Boży dzień zszedł ze strzelbą na ramieniu. Tem życiem strzeleckiem wyrobił on w sobie siły i zdrowie, ale ogorzał i zdziczał; już go codzień więcej towarzysztwo sąsiadów mieszało, a choć gości u siebie rad przyjmował, nie raz ziewnął w rękaw nim się ich pozbył, jeśli z niemi polować nie mógł. Sama postawa pana Joachima okazywała wieśniaka do zbytku zadowolonego, nie dbał bowiem o strój wcale i nie brzydką twarz opalił na cygańską, a że mu włosy nie raz zawadziły w lesie, strzygł je króciuteńko, żadnego wykwintu około siebie potrzeby nie czuł, w sposobie życia i ubiorze najprostszym się obchodząc i wyglądał całkiem na leśnika. Ale pod niepozorną szorstką powierzchownością, biło serce pocziwe, litośne, gorące, w którym głębokie uczucie dojrzywało nie wylewając się na zewnątrz, i małomówny a skromny, nie był tak ograniczonym jak się wydawał. Obcowanie z prostym ludem upoetyzowało wyobraźnię jego, napełniło głowę mnóstwem tradycyjnych wiadomości, zdrowemi zasady świata kmiecego, zasiało rolę żyzną jego umysłu, pracującego w ciszy i skupieniu wewnętrznem. Tak doszedł sobie lat trzydziestu i ani mu się



zamarzyło o ożenieniu; gdy jednego poranka jesieni ujrzał w zamku zebraną gromadę swojej wioski, której kilku siwowłosych gospodarzy przewodniczyło. Zdziwiony ich przybyciem, pośpieszył ku nim z niejakim niepokojem nawet, bo szukał po głowie coby im braknąć mogło, czegośby żądali, wyrzucając już sobie że się tego sami wprzód nie domyślił. Gromada stała w ganku — niebardzo licznie jakoś zebrana, — nie mniej zakłopotana od pana Joachima. wszyscy spoglądali po sobie jakby radząc się, jeden popychał drugiego łokciem naprzód, skrobali się po głowach: widać było że to z czem przyszli nie łatwo im szło wypowiedzieć.

— A! cóż mi to powiecie? co chcecie moi kochani? — spytał żywo dziedziec przybliżając się do kupki wieśniaków.

Milczeniem i ukłonem odpowiedzieli mu tylko.

— No, mówcie proszę, bo mi tęskno i tak na sercu. że ot czegoś sam się wprzód dla was nie domyśliłem, aż mnie prosić musicie.

Znowu pokłonili się starsi, zdawali zachęcać wzajemnie by przemówił który. ale zamilkli; pan Joachim wielkimi na nich patrząc oczyma:

— Ale cóż u Boga tak straszego, że mi i mówić nie śniecie. — rzekł coraz bardziej niespokojny — może krzywda jaka? zmiłujcie się. śniało, otwarcie mi mówcie.

— A! chowaj Boże! — ozwał się jeden z ludzi... i urwał. Znowu milczenie, szepty tylko i nikt nie śmiał wystąpić.

Stał na przedzie sędziwy Iwan Hołowaty, do niego więc przystąpił pan Joachim.

— Mój Iwanie. — rzekł — bądźże śmielszy od innych: wiecie że ze mną wszystko mówić i co chcecie

zrobić możecie. do czegoż ta nieśmiałość. Mówcie. proszę was.

— Mówciebo wy Iwanie, — dodał sąsiad.

— A czemużto wy nie chcecie? — odparł stary.

Poskrobaliby się w głowę. czapki dusili w rękach, ani się słowa z nich dopytać. Nareszcie Fedko Gruzda, wymówniejszy i śmielszy od innych. widząc że te ceregiele niecierpliwą pana. wysunął się przed drugich. i tak rzecz zagaił kłaniając mu się do kolan.

— Kochany panie. nie uważajcie... my tu nie przyszli z żadną skargą ani z żalem, chwalić Boga mamy zadość wszystkiego, a za ciebie jak za rodziców twoich żadnej krzywdy. Ot przyszliśmy tak. jakby to powiedzieć — tu się zaciął mówca — do serca pańskiego — dodał po chwili.

— A czegoż to żądacie moi mili od tego serca? — zapytał zdziwiony pan Joachim.

— Kiedy nie nad nami, to nad naszymi dziećmi niechajby się ulitowało.

— Fedku, ja ciebie nie rozumiem.

— Możem źle powiedział, ale pozwólcie to ja się jakoś roztłumaczę. Dobrze nam było z twojemi dziadami i rodzicami panieńku. niech Bóg duszom ich świeci, dobrze nam z tobą, a mamyż my albo dzieci nasze pójść na poniewierkę w obce ręce jak drudzy...

— A jakżeby to być mogło! — ofuknął się pan Joachim.

— Jednakże to być musi. kiedy się nad nami nie ulitujecie. — rzekł Fedko powoli coraz śmielej. — Czasby wam. powiedziałwszy prawdę ożenić się: ot z czem my przyszliśmy panieńku.

Pan Joachim się usmiechnął, słodko spojrzał po gro-

madzie, która mu potakiwała jeśli nie słowy to twarzami i oczyma, i tak dalej ciągnął:

— Tak, tak, z temto my przyszliśmy, nie mało razy myślelim o tem i szeptali między sobą, ale do pana przystąpić, a jeszcze z taką prośbą nie rażno; a tu i czas upływa i roczki idą jedne po drugich, a panisko nasze o tem nie дума, potrzeba było nam tę piosnkę zaśpiewać nareszcie. Jak się tak postarzejecie, to się wam później już żenić nie zechce, a któż nam będzie panował? My chcemy wychować sobie nowego pana, jakesmy ciebie wychodowali; o! to nic nie pomoże.

Pan Joachim dziwnie jakoś, choć dobrze to przyjął od swoich ludzi, uczuł że mu przypomniano obowiązek; pomyślał że mu to serce pierwsze powinno było oznajmić, a to dotąd nie zadrżało dla nikogo; zafrasował się nieco i łagodne tylko na pokrycie swego kłopotu się uśmiechnął.

— Zapewne, zapewne, — rzekł po chwili, — macie słuszność, jużby to i czas mnie było.

— A jakże nie, świętej pamięci dziad wasz i ojciec pożenili się zarania, a nie żałowali tego, — dorzucił Fedko — i wamby się już nie opóźniać, dohodujecie się pociechy z dziatki, ot i we dworze będzie wam weselej, i taki nas zostawicie w poczciwe ręce.

— Dziękuję wam, dziękuję, — odrzekł pan Joachim — dobra rada, nie ma co mówić. alem ja jeszcze nie nie uapatrzył.

— Boscie i nie patrzyli panieńku, — odparł z ukłonem i uśmiechem poufałym Fedko — jeno tylko zechciejcie poszukać, a znajdziecie.

— Ale, — uśmiechając się rzekł pan Joachim, — o ile ja wiem to tu nawet w okolicy nikogo nie widać.

— O! jakto kochany panie, znajdzie się! znajdzie! daleko po żonę jeździć nie warto, — sentencjonalnie odezwał się Gruzda — ale i po bliżu nie bez tego żeby nie było.

— Ja nikogo nie znam.

Gospodarze mrugnęli po sobie, widać się już byli i o tem naradzili, a Fedko ośmielony znowu przystąpił z ukłonem.

— A panienka z Sasowa! — rzekł wpatrując się w oczy swjemu paniczowi, bo tak go wszyscy dotąd nazywali.

— Ja jej nie znam, nie wiem czym ją widział nawet.

— Śliczna panienka — podchwycił szybko Fedko, — nie ma co mówić, hoża, zdrowa, wesola i gospodyni jak matka, a takito domowej, wiejskiej hodowli, proszę pana, nie z miasta, a ród pocziwy, pracowity.

— Gwałtembo mnie swatacie widzę! — zaśmiał się pan Joachim zafrasowany.

— Chowaj Boże, chowaj Boże gwałtu! z dobrą radą, z dobrem sercem przyszedłszy, ot i po wszystkim.

— Ja też radę przyjmuję do serca także i dziękuję wam za nią od niego — odezwał się pan — ale to trzeba pomyśleć, oporządzić się, a chcąc co zrobić, to i grosza nagotować wcześniej, lata były nieosobliwsze.

— Albo to my tego nie wiemy? — odparto żywo kilku gospodarzy razem, — myśmy to sami myśleli sobie, ale na to jest rada. Żebyś tylko panisko chciał posłuchać nas, a nie wzgardził dobrem sercem.

— Wiercie mi, że wam jestem najwdzięczniejszy za przywiązanie wasze.

— No, to i ofiarę przyjmie, — odezwał się ochoczo i wesoło Fedko, po za siebie sięgając, i w obu rękach

podniósł wielką czapkę barankową pełną różnej monety, którą z pokłonem przed panem położył.

Pan Joachim cofnął się krok i lży mu w oczach stanęły z rozczulenia, z uczucia, ale w twarzy jego widać było że mu ten dar był ciężki; poznał to Fedko i nie dając słowa przemówić, sam począł:

— Ot tak, paneczku, gromada postanowiła, przyniosła i musicie to od niej przyjąć... my chwała Bogu a dzięki wam mamy się dobrze, złożyliśmy co tam gdzie pleśnicie miało, a wcześniej wiemy, że u ciebie jakby komu zabrakło, to znajdzie jak w kieszeni. Więc nie sromajcie się przyjąć małego datku z dobrego serca od swojej gromady i żeńcie się, a my za to na waszem weselisku wypijemy.

Długo by o tem pisać było, jak się pan Joachim wzdragał, jak na niego gromada nalegała, jak go całowali po rękach, póki rozplakawszy się rzewnie, nie przyjął nareszcie tego daru, iż wyraźnem zastrzeżeniem, że w jego rękę zostanie tylko jak depozyt i własność wiojski. Wynogli też na nim słowo włościanie, że im przyrzekł o ożenieniu pomyśleć.

Ale zaprawdę wielki to frasunek przybył podżytemu już myśliwcowi; w domu tak mu jakoś było dobrze, że choć wieczory zimowe u komina długie się nie raz wydawały, swoboda dnia płaciła za nie. A potem, nie miałże pocziwego Jana nieodstępного towarzysza, w kniei i w izbie, na ochotę gawędę i usługę? Jan był godnym synem pocziwego tego ludu, sierotą ze wsi Starego do dworu wziętym z dzieciństwa, niegdyś dojeżdżaczem u ojca jeszcze pana Joachima, dziś pierwszym sługą, szafarzem, kluczniką, rządcą, ekonomem, przyjacielem i doradcą. Ale bo też na Jana spuścić się było można...

miał on swoje wady to prawda, a najpierwszą z nich podobno że od kieliszka nie stronił i cokolwiek podchmielony potrzebował już ciągle mówić... za to pocziwe serce, gotowość do poświęceń niewyczerpanych w nim były skarbem. Oszczędnością ani ze swego ani z pańskiego nie zgrzeszył, tłukł wiele, psuł ogromnie, bo mimo siwego włosa był roztrzepany i gorączka jak młokos, ale ze szkody zrobiwszy ją w prostocie ducha pierwszy się uśmiechał, nie pozwalając się połajać nawet, takto jakoś brał lekko. Wszystkie jego grzechy powszednie pochodziły z dobrego serca i nadzwyczajnej żywości, a pan Joachim tak był do niego przywykł, że go zdaje się za wady jego więcej jeszcze kochał niż za cnoty.

Po odejściu gromady, gdy gospodarz zamyślony wszedł do swojej izdebki na której kominie palił się suty ogień trzaskący, Jan naturalnie zaraz się za nim wsunął i stanął u drzwi, bo częstując panów braci, trochę się już podchmielił i potrzebował gawędzić. Twarz jego połykiwała rumieńcem, a oczy błyszczące jak węgle latały nieustannie szukając i przedmiotu do rozmowy i powodu do usługi. Nigdy tak usłużnym i tak tłukącym, rozlewającym, wywracającym nie był, jak w chwilach podobnych ożywienia. Ale pan Joachim siedział na krześle ze spuszczoną głową, zamyślony i nie zdawał się wcale skłonny do gawędki. Jan spróbował naprzód odchrząknąć, potem starł stół i wywrócił tylko jedno krzesło mimochodem, ale przywykły do podobnych burz pan, ani się ku niemu odwrócił nawet. To już było nie do wytrzymania, sługa ruszył ramionami i uczuł że potrzeba będzie samemu pierwsze przebić lody, począł więc z cicha bardzo, niby sam do siebie, nieznacznie jednak coraz głos podnosząc :

— Hm! hm! tak! tak! oho! patrzcie jacy mi roznymi, nie w ciemnię ich bito! ho! ho! w swaty! słyszał! napatrzyli już nawet sami żonkę dla pana! tak mospa nie, tak! Pilno im, pilno! Alboż to już panu koniecznie tak się prędko żenić; cóż to, czy pora minęła czy co? Zapewne, wprowadzić sobie biedę do domu, co by wszystko musiało być raz wraz w porządku i na swoim miejscu, zapewne, jeszcze tego braknie!

Pan Joachim się uśmiechnął.

— A prawda poczęści mój stary, czy to my nie znamy...

— Tak, tak, czy to my nie znamy — podchwycił żywiej coraz sługa, głośno już, bo okrutnie język świe rzbiał, — czy to my nie znamy, nie wiemy jak to bywa... Ho! ho! pani w dom to choć wszystkim z domu. Alboż to już tak bardzo czas, toć ja panicza na rękę nosiłem, a ja se jeszcze myślę, że podstarzawszy to się będę mógł ożenić; a gdzież panicz odemnie młodszy.

— Jużbo tobie Janie. — odparł rozweselony myśliwiec — poczekawszy, może być zapóźno.

— A! z przeproszeniem panicza — urażony zawołał Jan, — tegom to się ja nie spodziewałem, panicz mnie przecie widzi codziennie w kniei i w domu, jak tłukę zwierzynę...

— I talerze.

— No, to i talerze, ale zawsze taki i siła i ochota i krew jest; jak już nie zdłużam a trzeba mnie będzie pielęgnować, no to się i ożenie. Gdzież jeszcze paniczowi do mnie!

— Ba! ba! a czwarty krzyżyk poczęty!

— No to coż, choćby i czwarty? wielka mi rzecz! a ja siódmy po cichu zacząłem i nikomu nie mówię;



czy to się zaraz chwalić? Ja jak się ogolę mam czterdzieści kilka, a panicz w niedzielę na dwadzieścia pięć wygląda.

Joachim rozśmiał się serdecznie.

— Wybornyś mój Janie, ale prawdą a Bogiem, ja czuję że oni mają słuszość, — z cicha dorzucił — tylko mi się djabłe nie chce.

— A na cóż to robić czego się nie chce? — podchwycił sługa zrzucając nóż leżący na koniinie i chwytając go w powietrzu całą dłonią, tak że się skaleczył do krwi — gromada o sobie myśli, a my o sobie: mogą poczekać.

— Oni mają słuszość, — z westchnieniem powtórzył Joachim — trzeba taki spróbować i do Sasowa pojechać.

Jan tylko głową pokiwał, załamał ręce i stanął jak wryty, nie takiego spodziewał się on wniosku.

— Ha! zresztą, — rzekł desperacko — wola pańska, co to do mnie należy! ale zobaczy pan co z tego będzie; już taką rzeczą wypadnie z polowaniem się pożegnać.

— Albożto... — chciał spytać żywo pan Joachim, ale ten mu przerwał z gwałtownością gaduły.

— Tak! tak! z polowaniem się pożegnać, żona nie da jegomości po naszymu hulać z kniei do kniei, z lasu na łąkę, z łąki na pole, z chartami, z gończemi, z wyżełkiem, trzeba będzie i koło swojej przepióreczki posiedzieć; a przyjdą zaraz dzieci, przyjdzie za niemi oszczędność djabła warta, ja to wiem, wkrótce dla psów osypki zabraknie, charty poczną się nadto do hładyszek umizgać i kurczęta ścisnąć, gończe będą wyły po nocach, wyły w sieni robić nieporządki, i skończy się na tem, że nasza dziatwa zmarnieje, a my podurniejem, ot i po wszystkim.



Jan rozpaczliwie ręką zamachnął w powietrzu... Pan Joachim znowu się tylko rozśmiał.

— Śmieć się pan, śmieć, — coraz rozgrzewając się bardziej, — wołał Jan — ale to nie śmiechem pachnie jak Bóg żywy! wszystko tak będzie jak ja panu mówię; obejrzy się pan zapóźno, po harapie, klamka zapadła i trąb w kułak nieboże.

— Ale dałbyś pokój Janie, czyż to i żonaci nie polują?

— Co to za polowanie, proszę pana! polowanie na które trzeba pozwolenia u jejmości prosić. Już pan o świecie nie wyjedzie, żeby pani nie budzić, trąbka nie zagra koło dworu boby przestraszyła; wykradać się będziemy musieli jak złodzieje, a powróciwszy gdy się zziębnie, zmoknie, jeszcze i burę złapiemy na odegrzanie...

Jan tak się już rozgadał, że chodząc wywracał wszystko, i potoku słów jego niczem utamować nie było można, sądził nawet że przekonał, bo pan Joachim zamilkł, ale w kilka dni potem, oporządziwszy się jako tako, niespodzianie ruszył do Sasowa, co Jana do desperacji doprowadziło.

W Sasowie mieszkali państwo Drohobyscy, oboje dobrze starzy już ludzie, mający młodzinęną córkę i syna tylko. Byli oni niegdyś majątni, teraz podupadli, dorabiali się powszedniego chleba starości w pocie czoła. Sam pan Stanisław zawołany gospodarz starej daty, wedle prognostyków, kalendarza i notat dziadowskich prowadzący rolnictwo, niczem się prócz niego nie zajmował, sama równie zabiegła gospodyni pomagała mu usilnie: dzieci ich wdrożone do tego życiem rodziców, razem z niemi chodziły od młodu około uczciwego dorobku; dom był co się nazywa gospodarski. Nie było tam krzywdy ludzkiej, ale niedziela jedna ledwie na

spoczynek zostawała, tak się nieustannie krzątano. W niedzielę jechano na mszę świętą i w sąsiedztwo, przyjmowano kogo Bóg dał. i bawiono się zahorowanym spoczynkiem; w inne dni nikt ich nie zobaczył. Stary, już siwy, krzepki i zawiedły mężczyzna atletycznej postawy, cały dzionek był na szkapie, syn w drugiej stronie; matka w białym czepcu i cycowym przyodziewku pilnowała dziewcząt swoich, córka wyręczała ją w pracy. Wśród takiego życia nie było czasu na złe myśli nawet, a przytem bogobojne staroświeckie wychowanie zaród ich nawet zniszczyło. Jegomość był prosty człowiek ale serca wielkiego, nie uczony, przecież obowiązki swe znał dobrze, prawa liźnął w praktyce, łaciny zaczerpnął w szkole w Przemyśle, polityki wyuczyły go rodzinne podania, a gospodarki praca własna. Nie był to statysta ani gębacz, ale też między ludźmi miał się z czem odezwać, i choć nie wiele mówił, było czego posłuchać. Jejmość długiem nierozzerwanem życiem ze swoim pocztowym Stasiem, zupełnie się na jego sposób wykształciła; były to rzecz można nie dwa odrębne indywidua, ale jeden na dwoje rozdzielony człowiek. Rozumieli się skinnieniem, jedną mieli wolę, jedne myśli, jedne upodobania i charaktery; ta zgodność ich w innym rodzaju życia próżniaczego mogłaby była spowodować za sobą znużenie i obrzydzić ich wzajemnie; ale w pracowitym zawodzie Drohobyskich, ściślej tylko łączyła.

Wesołość niczem nie zamacona, spokój niezrównany i słodycz odróżniały nieco panią Knnegundę od surowszego, często smutnego i łatwo niepokojącego się męża, który zbyt czując i biorąc do serca każdy kłopot gospodarski, chmurzył się i gniewał. Naówczas Kunusia wzięwszy się w boki, przychodziła do niego raźnie z per-

swazją tak zręczną a nie natarczywą, że zawsze potrafiła go poweli potakując mu z początku, mitygując potem, rozweselić i udobruchać.

Takich rodziców dzieci musiały wyrosnąć na ich podobieństwo: syn Paweł trochę się w szkołach poduczywszy, rychło z nich ojcu pomagać powrócił i kula w kulę wyrabiał się na jegomości; córka która nigdzie nie powstała tylko w domu, była odmłodzonym obrazem wesołej, poczeiwej i pracowitej Kunusi. Ojciec, który ją też szczególnie kochał, spoglądał na nią czasami i mówił: — Waćpanny wyglądacie przy sobie jak rodzone siostry!

Ale stary pochlebiał, bo jego Kunusia choć rzeźwa i rumiana, dobrze już była podtuptana, i kiedy go posłyszała mówiącego tak w wesołej chwili, zawsze mu śmiejąc się odpowiadała:

— Ale! ale! podobueśmy, podobne jak świeża gruszka do suszonej!

I mówiąc to całowała Marję w czoło.

Marja była ulubienicą i pieszczotą wszystkich; rzadko kogo Bóg tak jak ją obdarza. Miała tę piękność Polki, której na świecie nie wyrówna żadna, piękność pełną wyrazu, poważną i wesołą razem, w której się rozum z uczuciem do równowagi układa, miała wdzięk niezrównany, wejrzenia, ruchu, uśmiechu, głosu i słowa, podnoszący do ideału, miała serce złote i jasne pojęcie o świecie wyczerpane z poznania obowiązków chrześcijańskich. Ani nadto surowa, ani nazbyt płocha; łączyła dostojność niewiasty z urokiem dziecięcia, a znać było że z swobodnego swego kątku młodości już poglądała na życie, któremu była przeznaczoną. Modlitwa, praca, trochę niewiunych marzeń, trochę dziecinnej prostoty

zabawy, składały się na dni jej terazniejsze, i nie tęskniła za zmianą losu, bo wszędzie widziała obowiązki przedewszystkiem, które mogą się stać roskoszą dla poczciwych, ale nigdy gorącej nie obudzają żądz, zwłaszcza w młodem sercu potrzebującym swobody, by się rozrosnąć i ukrzepić dla przyszłości.

Dom w Sasowie był sobie szlachecki, nie zatrul go pański zbytek i wymysły nowych potrzeb życia, gdy w istocie życie tak małym się obejść może! Nie tu nie było dla oka krom kilku starych pamiątek, nie dla pieszcoty ciała, co wypieszczone, nie nowych władz do szczęścia, ale nowych tylko środków dręczenia się nabywa; nie dla pokazu przed ludźmi i pochwalenia się im fałszywym dostatkim. A było to wszakże zamożność w pocie czoła zdobyta, owoc życia całego, Sasów z długów się oczyszczał dla syna, i piękny posażek zbierał dla córki. Już i rodzice wieczorami posiadawszy na kuferkach, szeptali nie raz spoglądając na Marią, że czas by ją wydać za mąż, ale się nikt jeszcze do ich serca nie trafiał, nikt do serca Marji, swobodnej, wesołej i niepragnącej więcej nad to co miała. Mało też kto był u państwa Drohobyskich: sąsiedztwo nie było liczne, i wszyscy wiedzieli że się w Sasowie szumno zabawić nie można. Na marjasza wieczorem przyjeżdżał czasem proboszcz, czasem zakonnik z Podkamienia, na imienniny przywlekło się kilku starych przyjaciół, a we święta większe i ktoś z dalszych krewnych; ale odwiedziny były krótkie i nie ich nie odznaczało od dni powszednich, tylko większy troche zakręt w domu, dla którego były niezwykłością.

Z pauciem Joachinem i rodzicami jego znał się pan Drohobyski oddawna, ale nie widywali się też często, bo

lata upływały, a ledwie się czasem spotkali w miasteczku lub uściśnęli we drzwiach kościołka.

Zadziwił się niepomalu szlachcie, gdy jednej niedzieli, w nowointenkiem ubraniu jak z igły, czwórką dzielnych domowych szpaków zajechał pan Joachim. Gospodarz w pierwszej chwili trochę zdumiony, prędko się rozruszał i najgościnniej przyjął sąsiada. Wyszła zaraz i wesoła jejmość z mnóstwem dykteryjek, któremi zwykła była ożywiać rozmowę, pan Paweł i Marja. Nadjechał jakoś wkrótce i proboszcz, a rozmowa bardzo się ożywiła przy kawie poobiedniej.

Nie uszło to oka matki, że pan Joachim coraz to na Marję spojrzął z intencją; ośmielił się nawet niezważając na jej nadzwyczajny rumieniec, przemówić do niej słów kilka.

Odwiedziny poszły składnie i dobrze; wszyscy się rozstali radzi z siebie i z myślą spokojną. O zniżeniu pożegnał gość chętnych swych gospodarzy, wymawiających mu długie zapomnienie i proszących go, by ich częściej odwiedzał; a po odejściu syna i córki, pan Stanisław z żoną szepnęli do siebie.

— To niedarmo!

— Jakbyś mnie jejmość z ust wyjęła; i mnie się to zdaje że nie bez myśli. Jak uważasz, czy mu się też Marja podobała?

— Raz w raz na nią spoglądał.

— Tak! tak! i podobno nie bez projektu!

— A cóż, jakby się to jegomości wydawało?

— Ba! czemuż nie! Niebym doprawdy przeciwko temu nie miał; uczciwych rodziców, ludzie rządni. Stare, wieś co się zowie, ryby, grzyby i chleb jest; długów nie mają, siostr, braci ani krewnych, substancja piękna, on

człowiek stateczny; tylko do licha słyszę zagorzały myśliwy.

— O! o! alboż to co tak bardzo złego?

— Albo widzisz asindzka i to pasja — odrzekł pan Stanisław gładząc wąsa — a pasja każda prowadzi daleko dalej niżeli przewidzieć można, jak koń unoszący, który czy w wodę, czy w przepaść, czy na ścianę zanieśie, nikt nie odgadnie. Widzi mi się żeś kiedyś słyszał o takich u nas, co za sforę ogarów gotowi byli dać wioskę. Żonie z takim niewygodnie.

— Ale czyżby się powoli przez przywiązanie żony nie mogło odmienić? — spytała pani Stanisławowa. — Sam jeden, cóż ma robić, żonaby mu nie dała tak raz w raz po lasach się włóczyć.

— O! moja Kunusiu, ciężkieżbo to zadanie, żonie męża przerabiać, lepiej dostać gotowego.

Rozśmiała się żona wedle swego zwyczaju, ale odparła zaraz, nie pozwalając by w umyśle męża gnieździło się uprzedzenie przeciwko panu Joachimowi.

— Będzie to jakoś przy pomocy Boskiej... jeśli sądzono im, i nie najgorzej widzi mi się byłoby, gdyby się to skleiło. Ale dajmy pokój przed czasem głowę łamać.

— I to racja, — odezwał się pan Stanisław — poczekajmy z turbacją żeby było czego.

Tymczasem pan Joachim jechał do domu niesiony czwórką szpaków swoich, które woźnica po stacji przed gankiem w Sasowie teraz z całych sił trzymać musiał tak mu się rwały; jechał i nie widział nic co się w koło niego działo, bo się zaraz w ulicy od dworu wiodącej tak zadumał, jak mu się przedtem nigdy nie trafiało. Marzył on całą drogę aż do ganku w Starem, a podróż mignęła mu tak szybko że się niepomału zadziwił

ujrzawszy światło i usłyszawszy głos Jana nad uchem. Ocknął się niemal przerażony, spojrział na konie, i nie nie rzekłszy do ludzi, co było przeciwko zwyczajowi, nie pogłaskawszy nawet Pokaża, wyżyła swego, wszedł zadumany jeszcze do swojej sypialni.

Jan, który zapobiedz nie potrafił tym odwiedzinom, choć się ich lękał, rad był zbadać, jakie wrażenie zrobiły na pannach: postrzegł zadumanie niezwykle, nie podobало mu się milczenie uparte, postanowił koniecznie panie rozruszać i do wynurzenia się skłonić. Że wieczór był chłodny, pobiegł naprzód po wódkę; uderzył się kilka razy o drzwi, na których klamki nie trafiał. zawadził o cztery piece stojące na drodze, kułakując je za to, skreślił dwa zamki z wielkiego pośpiechu i wyklął je jak był przywykł wyklinać psy i konie, to jest: żeby was wiley pojadyły! nareszcie dostał się do apteczki, stłukł jedeu bntel, a z drugim powrócił.

Myślał, że otwierając flaszkę, otworzy rozmowę, ale pan Joachim odezwał się tylko: — Postaw — i wyciągnął się na łóżku.

Jan dorzucił na kominek polano, poustawiał nieszczęśliwe krzesła, którym kości gruchotał, starł stoły wszystkie, wymiótł śmiecie po drewnkach, raz w raz oglądając się na panie, a widząc, że ten milczy uparcie, spytał sam na ostatek:

— Czy tylko panicz nie chory?

— Nie mój Janie, nie mi nie jest!

— Ale coś-bo pan nie swój?

— Owszem, tylko się trochę zmęczył, bryczki nie lubię, wolę konia.

Ani się nie dopytać! Jana rozpacz i niecierpliwość, o którą mu było nie trudno, porywały; wypadało mu



wyjsć, szukał powodu do zostania i wściekle porządkował znówu co tylko mu się nadarzało, wywracając, łamiąc i sztukując zaraz najnaiwniej z poruszeniem ramion, które zdawało się winę przypisywać sprzętom, nie obciążając się z nimi. Jan w takich razach nigdy nie był winien; zawsze piec, drzwi, krzesło, stół, jedynie pokutowały, bo je łajał jeszcze.

Pan Joachim nie zważając na ten łomot, poglądał w komin i milczał. Przetrwawszy tak długą chwilę, sługa nie myślał więcej czekać i szturmem postanowił zdobyć potrzebną wiadomość.

— A cóż — rzekł — pan znalazł Drohobyskich w Sasowie?

— Znalazłem ich.

— Gdyby też wolno było spytać?

— O co?

— A juściż — uśmiechnął się Jan figlarnie, oczki żywe mrużąc i trąc z niecierpliwości czuprynę zawsze najeżoną — juściż, jak się tam spodobało?

— Bardzo! — rzekł lakonicznie Joachim i uciał.

Jan tupnął nogą i palce sobie zagryzł.

— A pauna, proszę pana?

— Piękna panna.

— Ta! piękna! piękna! każda z nich piękna póki za mąż nie pójdzie, ale to gaśnie pręciuteńko...

Pan Joachim rozśmiał się, a Jan nabrał zaraz większej śmiałości, widząc, że jego opozycja uśmiech tylko wywołała, i począł głośniejsze a żywiej:

— Niech-że mnie pan z łaski swej powie, swojemu staremu słndze... to już taki będziemy mieli sobie panią, czy co?



— Alboż ja wiem! czyż mogę przewidzieć, czy ja się jej podobam, czy oni mnie zechcą?

Jan podniósł głowę, pokiwał się, uderzył się po bokach i zawołał:

— Ale! ale! nie chcieliby! Podoba im się i panicz, podoba im się i Stare! Zapewne, zapewne! O! co z tej strony, można być spokojnym, oddadzą ten klejnot z pocałowaniem rączek, to jasne jak słońce, byleś pan mru-gnął tylko. Ale posłuchajno pan starego swego Jana; ej! dobrze się rozpatrz i namyśl, bo to dalibóg na całe życie... to nie bagatel, nie zabawka, niech się panicz pomiarkuje. Do domu sobie kłopotu naprowadzić bardzo łatwo; pozbyć go się potem nie można. Co ja, to Drohobyskich nie lubię, skąpe to, gołe być musi, i żaden z nich nie poluje; podobno pan Paweł, ale to tylko z chartami, i charty gałgany, gnój wozić za naszymi! Z jeduym Dolotem wszystkiebym w kamysz zapędził.

Prawił Jan długo, od chartów do panny i od panny do myślistwa przeskakując, macał swego panicza z różnych stron i wyszedł ze spuszczoną głową wódkę odnosząc, tak tęskny, że w przedpokoju dwa razy się jej na pokrzepienie musiał napić. Serce jego przeczuwało, że to, czego się najbardziej lękał, spełnić się musi.

Jakoż w kilka miesięcy potem stały beczki smolne wzdłuż drogi i stawu od lasu do dworu poustawiane z obu stron; dwór w Starem był rześisto oświecony cały, a we wrotach wioski gromada oczekiwała przybycia państwa młodych. Zdała już słyhać było wesoly, rażny tentent koni, które wiozły nowożeńców i dzwonki uprząży wołyńskiej i klaskanie z batów i hukanie podchmielonych gości. Starzy wieśniacy poglądali z żywą niecierpliwością ku lasowi, z kąd się im miał ukazać

powóz weselny, a Fedko Gruzda, pierwszy swat w nowiu-  
teńkiej siwej świcie, podpasany czerwonym pasem, z pię-  
knym kapturem na plecach, wzorzysto wyszywanym,  
z ogromną czapką baranią w rękę, trzymał świeżuteńki  
bochenek chleba, uwinięty w białe płótno, gotując się  
powitać swych państwa z darami zwykłemi: chlebem,  
solą i miodem. Obok, na przykrytym stole w misie  
czerwonej, widać było plaster przepyszny i na szklanej  
mniejszej miseczce białej soli kupkę; przy nim siedziała  
stara kobieta z kądzielą w rękę, nałożoną lnem naj-  
piękniejszym, przy życzeniach, mając starodawnym ob-  
rzędem wyprząść nić jak najdłuższą, symbol długiego,  
gładko płynącego żywota.

Zwykle do tego wybierają najwprawniejszą we wsi  
prządkę, która w oczach nowożeńców z wielką zręczno-  
ścią wyciągając szybko cienką i równą przędzę, i wska-  
zując ją wesoło, kłania się, całe życzenie zamykając  
w wymownej nici.

Rzadko się trafia, by kogo przyjeżdżającego z żoną  
do domu po raz pierwszy, przyjmowała gromada; zwy-  
czaj też to już dziś mało komu znany, lecz niemniej  
istniejący w tych kątkach, gdzie się z wielą innemi po-  
daniami i ten obrządek przechowuje, po Wołyniu i Po-  
lesiu.

Cymbalista, skrzypek, basetlista, stroili instrumenta  
tymczasem, chcąc co najpiękniej popisać się z muzyką.  
Chłopcy powłazili na drzewa po nad drogą stojące, aby  
prędzej ujrzeć i oznajmić o weselnym orszaku, niestan-  
nemi ścigani pytaniami, odpowiadając na nie zwodniczo,  
lub zbywając dziewczęta dwuznacznemi słówkami.

Piękny był obraz uweselonej wioski.

Nad stawem, nad gościńcem wijącym się przez parów,

pały się beczki smolne, odbijające się w wodach, oświecając drzewa i białe dachy na wzgórzu i żółty gościeniec pokręcony w malownicze pasy ginące w dalekim zmierzchu... Wśród ciemnych lip zamczyśka sześć okien dworu jaśniały wszystkie równo, drzwi nawet buchały światłem, a na nich czerniała jakaś postać tajemnicza, stojąca nieruchomie.

Na wałach w koło domu migwały mniejsze przebiegające tu i ówdzie światełka; we wsi gwar, śmiechy i pobrzękiwania muzyki, słysząc było wśród szumu sadów gwarzących z wiatrem wieczora i warkotu młyńskiego koła, które na nic nie zważając, gderało. Księżyc bliski pełni srebrzyste swe promienie mieszał z blaskami ogniów i resztę krajobrazu odkrywał oczom, zdzierając z niego zasłone nocy.

Ale któż-to tam wśród powszechnego wesela duma na progu dworu, stojąc jak wryty, ze zwisłą głową, z rękoma załamane, z ponurą twarzą i nastrzępionym wąsem, jakby nie dzielił radości wszystkich, jakby się nią właśnie zatruwał? Stary to Jan stanął tak, zadumał się, i aż łza pociekła mu po zmarszczonej twarzy: usłyszał już z daleka turkot powozów, serce mu забиło jak dziecku i tak mówił do siebie:

— Czegom się bał, tegom się nie ubał! Ha! musiał się on taki ożenić! ale Bóg-że to wie co nam wiozą do domu, biedę czy szczęście? Gdyby to odgadnąć, możebym się z drugimi cieszył. To pewna, że się nasze dobre, spokojne, kawalerskie czasy nie powrócą; kiedy tak, to i mnie będzie czas poszukać sobie jakiej flondry... je-dnakże kości łamią. Ot! jaka śliczna jesień, jaka perlista rosa, a djabła tam on się jutro rano da zbudzić do knei, choć pieski by zagrały! oj! zagrały! A co jemu

teraz psy; już nam teraz nie o tem myśleć, będziemy i my podobno na dwóch łapkach przed jejnością tańcowali! Mówią, że stara Drohobyska inęża za nos wodzi, bodaj żeby i u nas tego nie było, bo to idzie rodem, a mój taki miękki, że go na włosku prowadzić można... I jeszcze się kocha, zrobi z niego co zechce. Byłe mu choć raz w tygodniu pozwoliła zajrzeć do kniei, bo to niebożátko uschnie z tęsknoty, nie daj Boże!

Kiedy stary Jan tak gaworzy sam z sobą, wesele nadjeżdża do kołowrotu wioski, i w nim zatrzymuje się chwilę: Fedko podał czerwono zapieczoną bułkę chleba uwinioną w nowy rańtuch biały, z niskim pokłonem, z przemową od serca gromady; prządka wysnuła nie, ale nikt nie widział, że nimo zręczności Horpyny, naj-sławniejszej w swej sztuce z całej wioski, mimo jej dobrej woli, prorocze pasmo zadrżało i rozerwało w jej rękach.

Są niepojęte oznajmienia przyszłości, wolno niedowiarkom, co świata cudów widzieć nie chcą, zaprzeczyć im i złożyć je na przypadki; my je uznajem, bośmy przywykli szanować nawet stare przesady... Może to błąd, ale i ten z innemi wypływa z przywiązania do wszystkiego co swoje.

Tymczasem państwo młodzi pędzili ku dworowi, a za nimi w tumanach kurzu szły bryczki i wózki panów sąsiadów i gości; Jan wciąż jeszcze stał w ganku, aż gdy się turkot przybliżył, ustąpił nieco w cień i z zaognionem od ciekawości okiem pozostał za słupem ukryty.

Kiedy drżąca od wzruszenia, oblana rynniciem, ze łzą w oku, Marja modląc się po cichu, stanęła nogą na próg nowego swego domostwa, sługa z przestachem na

nią spojrział, i mimo uprzedzenia, mimo żalu, nie wydała mu się tak straszna, tak przerażającą, jak ją sobie wyobrażał; wzrnszony także, postąpił nieco mimowolnie, a pan Joachim go zobaczył.

— A chodź-że no tu Janie, niech cię z moją żoną zapoznam — rzekł wesoło — Marysiu, to nasz poczciwy Jan, wierny sługa moich rodziców i mój piastun i przyjaciel.

Marja odwróciła się z uśmiechem serdecznym, i kłaniającemu się do nóg, cicho powiedziała:

— Proszę i mnie trochę kochać, panie Janie, jakieś kochał mego męża, będę się starała na to zasłużyć.

Jan ni z tego ni z owego, zawsze do wszystkiego prędki, rozplakał się rykiem i pocałował aż w nogę młodą panią swoją, tak mu do duszy przemówiła. a z wielkiej nagle obudzonej ochoty służenia jej, wleciał potem zaraz do domu za państwem i nogą przewrócił cały kosz stojących w kącie butelek.

Gwar gości i muzyka, śmiechy i wiwaty zagłuszyły brzęk thukących się fasz, na które pogardliwie tylko spojrział Jan. ruszył ramionami i przez zęby stęknął:

— Oto głupie!

Nie zważając na sączące się wino, poszedł dalej potrzęsając głową, i wciąż mruczał do siebie: — Ona sama będzie z nami polowała, ja ją nauczę! będzie polowała! mówię że będzie, i wszystko tak się pociągnie jak było dawniej... co daj Boże.

---

Szumne było wesele, choć cicho szeptali między sobą goście i ludzie dworscy, że wiele złych znaków mu towarzyszyło: u ołtarza w czasie ślubu zgasała świeca ze

strony pana młodego, we wrotach wioski zerwała się nie witającej ich prządki, wchodząc na ganek spotknął się pan Joachim i w kilka chwil po przybyciu do starego dworu, zerwała się burza z okropnym wichrem, grzmotami i piorunami, która trwała do dnia, tak, że wszystkie drzwi i okna pozamykać i pozasłaniać musiano. Jan wiedział o tych przepowiedniach, bo go ciekawość wiodła do każdej kupki szepczących, i kiwał znów głową smutnie; odzywało się w nim powoli uprzedzenie przeciwko młodej pani, ilekroć na nią nie patrzył; gdy przy niej był, ustawiało.

Marja umiała ująć sobie i jego i wszystkich, jak ujęła sobie Joachima, uśmiech jej, dobre słówko dziewczynym wymówione głosem, które mu towarzyszyło, wejrzenie anielskie, jednały serca najtwardsze. Mruczał tylko stary myśliwy pod nosem, ale się odezwać nie śmiał i myślał w duchu: — zobaczymy też co będzie z polowaniem, to najlepsza próbka.

Nie przypomniał on panu wcale kniei i piesków, ale bolało go serce, gdy zajrzał do psiarni, gdy wziął w rękę strzelbę.

Trzeciego czy czwartego dnia, gdy się już goście porozjeżdżali i matka tylko Marji przy niej pozostała. Jan kręcił się wieczorem po pokoju i ze zwykłą sobie gorliwością, czego się dotknął tłukł i wywracał, nie omieszkując winy składać na biedne sprzęty, które mu pod bok się nawijały. Wewnątrz gryzły go niezmiernie łowy, do których czas był wysmienity, a pan Joachim jeszcze mu nie wspominał, żeby się w lasy wybierał; w tem z podziwieniem największem pocziwego Jana, sama pani się odezwała:

— Mój Joachimie, ja wiem, żeś ty wielki myśliwy,

czemu też nie pomyślisz o swojej ulubionej rozrywce. ja się tu domem zajmę, a ty każ sobie, proszę, jutro przygotować polowanie... Mama bardzo zwierzyne lubi...

Jan zaledwie uszom swoim mógł uwierzyć, stanął wryty. słuchał. nasłuchać się nie mógł, i drżał z radości.

— Słyszysz pan! słyszysz pan! — wykrzyknął niezrozumiale, i poskoczył do Marji, całując ją w rękę.

— A! złota moja pani, śliczna moja pani! — jaskając się mówił szybko — to prawda, prawda, to święta prawda, że naszemu panu bez polowania nie wytrzymać... jutro o świcie do kniei, idę, lecę i zaraz rozporządzę wszystko...

Pan Joachim uśmiechał się patrząc na niego, a Jan już bałaśnie trzaskając drzwiami, biegł pędem i po drodze słyszał było, jak wywracał, tłukł, rozbijał co napotkał, powtarzając ciągle:

— Ona sama polować będzie! to złota pani, jak Boga kocham, złota pani!

Pierwsze polowanie wielce się udało, za pierwszym poszły żywo szeregiem nienastannym prawie coraz nowe, coraz inne. jesień i zima nadchodziły właśnie, nie zabrakło zwierza ani ochoty. Marja sama z uśmiechem przypomniła Janowi, że polować było można. Tem tak go sobie wreszcie zaskarbiła, że z niedowierzającego dotąd i trochę obawiającego się jej zawsze, stał się pierwszym pani wielbiciele; milczący z razu, teraz się z afektem dla Marji nie tajił i głosił wszędzie jej chwałę, powtarzając po cichu: — Ona sama polować będzie! zobaczycie!

— Już to prawda — dodawał — żem się grubo mylił i niepotrzebnie obawiał, bo ona sama i psy lubi i nigdy gończe nie były tak dobrze utrzymane jak teraz. Co pani



to pani! gromada miała rozum, kiedy ją panu stręczyła, bo takiej drugiej kobiety na sto mil w koło nie znaleźć.

Jan zupełną miał w tym względzie słuszność, bo istotnie Marji podobnej nie łatwo; rozum i dobroć, serce i głowa rzadko tak równie rozwinięte chodzą z sobą, rzadko obok nich znajdzie się wdzięk, słodycz, urok, jakim czarowała wszystkich pani Joachimowa. To też mąż przywiązał się do niej namiętnie, prawie bałwochwalczo, a ona z powagą matki pieściła go jak dziecko, słuchała jak ojca, i jasnych dni pasmo rozwijać się poczęło w Starem dworze. Powoli nieład, który się był zakradł pod zarządem szparkiego Jana, ustawać począł i pracą młodej pani stopniowo, nieznacznie, zaprowadzone zostały porządek i oszczędność. Joachim swobodnie polował, zdając na żonę nie tylko kobiecą część gospodarstwa, ale cały zarząd domu i kierunek interesów. Jan już jej za złe nie miał, że się do wszystkiego mieszała, bo polowali ile i jak chcieli, a nigdy słówkiem ani wejściem nie wstrzymała pani Joachimowa.

Stare dworzysko dość przedtem opuszczone, wyporządzało się, podniosło, odprostowało i połatało boki; ogród podkrzesany zazieleniał inaczej, dostatek wszedł do spiżarni za panią i zamieszkał w niej, a z nim swoboda i wesołość; Marja od brzasku do nocy z kluczami w rękę krzątała się koło swego gospodarstwa i ożywiała każdą robotę zachętą, dobrym słowem, a wreszcie udziałem, jaki w niej miała.

Rok, dwa lata, upłynęły bez zmiany żadnej, synek tylko przybył panu Joachimowi, a gromada wedle odwiecznego w Starem zwyczaju, do chrztu go trzymała; Jan we łzach cały stanął nad kolebką i trzeciego dnia już mu chciał trąbić dla zabawki, szczęściem potrafiłono



to jakoś na potem odłożyć. Staś przypomniał mu młodsze lata, gdy jeszcze Joachima piastował i zabawiał, serce mu uderzyło i pierwszy raz w życiu rzekł do siebie: niech djabli wezmą polowanie, trzebaby nam domu, jejności i dziecka pilnować.

Były to jednak tylko wysoki czułości, które się wkrótce powszedniejszemi uczuciami zacierają; myślistwo odzyskiwało nad nim władzę, jesień przychodziła z rosą, psy zawyły zamknięte, musiano polować, jak było wytrzymać! Pan Joachim jednak powracał wcześniej, wyjeżdżał później i siadywał w domu dłużej, a Jan mu tego bynajmniej za złe nie miał, czasami nawet wybrał się sam do kniei po cichu, nie zachęcając panicza, by mu towarzyszył.

Szło tak wszystko szczęśliwie lat kilka i Stasiak podrastał na pociechę matce i ojcu a starowina Jan wykręcał mu piszczałki z łożyny, strzelał ptaszki, zbierał lisie i zajęcze ogony, aby go wcześniej do myślistwa zaprawić, gdy jak uderzenie piorunu, padło na dom nieszczęście.

Jednego jesiennego poranka przybiegli dać znać do dworu, że w lesie pokazał się odyniec, który z sąsiednich ostępów kilka już razy wpadał w bory Starego; widziano go w uroczysku na Hałem. Na tę wieść ruszyło się co żyło. Jan siadł na koniu, porwano psy, pan Joachim ledwie mając czas żonę w czoło pocałować, pognął na koniu do lasu. Jan oklep go poprzędził. Rozstawiono strzelców, a że odyniec na polankach w lesie rozpiezchłych, w zbożach włościan nie małe czynił szkody, ludzie się więcej dobrowolnie zebrali obławą przeciwko niemu. Pan Joachim z pośpiechu zapomniał o zwykłych w takim razie ostrożnościach, nie opatrzył dobrze strzelby, i stanął na

przesmykn, którym dzik, wedle wszelkiego podobieństwa przechodzić musiał.

Założono psami... chwilę było cicho, las tylko szumiał posepnie. potem zagrały ogary, ucięły i zagrały znówu już widocznie z oka goniąc... zadrżały serca myśliwych, zatętniał i zahuczał las cały... w tem dał się słyszeć wystrzał jeden i krzyk okropny.

Jan, który stał niedaleko od Joachima, przybiegł w miejsce, z którego głos bolesny się rozległ, nieprzytomny, przełękły, przeczuwając już jakies nieszczęście. Straszliwy widok go nderzył. pan leżał na ziemi we krwi brocząc, i niespokojne. łzą boleści zaszeły oczy wodził po głuchym lesie.

Pierwsze wejście tych oczów padło na biednego Jana; ujrzał to i wrzaskiem przerażającym zwołał co żyło myśliwych i obławę. Widok był okropny, pan śmiertelnie ranny, konał prawie. Zajądły odynieć po pierwszym wystrzale, który go ciężko tylko skaleczył, wedle instynktu swego, rzucił się wprost na dym; przypuścił go pan Joachim, pewien będąc. że drugą rurę ma nabitą, tymczasem w pośpiechu zapomniął o niej, odynieć wpadł nań rozjuszony, a żadnego ani pniaka, ani drzewa nie było w bliskości, by się od napadu ratować: cięty w nogę upadł myśliwiec, a dzik rozplatawszy go, wściekły. rzucił się dalej.

Nie potrafimy odmalować co się działo z Janem, jaki krzyk wyrwał się z piersi wszystkich pocziwych ludzi, którzy tak serdecznie Joachima kochali. Stracili przytomność i zapomnieli w pierwszej chwili o ratunku, przejęci okropnością wypadku, nikt nic nie robił, łamali ręce, klękali przy nim, płakali.

Joachim słabnącym głosem szeptał powolnie: —

księdza! księdza! nieście mnie do dworu. krew upływa, życie uchodzi... do dworu... niech ich pożegnają... proszę was.

Opamiętali się ludzie wreszcie, zrobiono natychmiast nosze, a dwóch przodem pobiegł do plebana, który przeciwko ranionemu wybiegł z wyrazem najstraszliwszej bolesti. Łzę zlane oczy księdza i szklanny wzrok dogorywającego myśliwca, spotkały się z sobą w milczeniu wymownem. postawiono nosze na ziemi, odstąpili ludzie, kłękł proboszcz n głów konającego i przyjął ostatnie jego przerywane jękami wyznania. błogosławiąc umierającemu przyjacielowi.

— A teraz — odwrócił się do zgromadzonych ludzi swej gromady — teraz bracia moi — rzekł powolnie — sierot dwoje wam polecam, wy im bądźcie opiekunami, wy obrońcą... Nad was nie miałem lepszych przyjaciół, wam ich zostawiam spokojny...

I spojrzął ku bliżej stojącym. — Podejmujecie się opieki?

Wszyscy płakali, tylko starzec jeden, Hryć Soroka z powagą przystąpił ku panu swemu.

— W imieniu nas wszystkich — rzekł — przyjmujemy twoją wolę ostatnią i spełnim ją święcie; ale ty żyć będziesz, dla nas... dla nich...

Joachim uśmiechnął się boleśnie.

— Pamiętajcie — powtórzył — zostawiam was opiekunami wdowy i sieroty, teraz mogę umrzeć spokojny. Nieście mnie do domu — z mężką rezygnacją zawołał — po Bogu pierwsza ona i sierota. Ty księżu idź przodem i przygotuj ją do ciosu; mnie powoli poniosą przez wioskę, pożegnają się z moją gromadą... Życie zatrzymam

w sobie. bo muszę ją pożegnać... i tego biednego ro-  
baczka pobłogosławić na życie.

Lzy puściły się z oczu słabnącego, ścisnął za rękę  
księdza i wskazał mu na dwór.

— Idź przodem — powtórzył cicho — powoli. ostrożnie  
powiedz co się stało... tak Bóg chciał.

Jan oszalały prawie, siadł na konia i popędził do  
Podkamienia na wprost przez lasy i góry bez drogi po  
lekarza, był tam bowiem zakonnik jakiś, który słynął  
za doskonałego medyka.

Joachima niesiono powoli, a cała wieś wstrzęsniona  
wieścią straszną, wybiegła kupiąc się koło niego i z płą-  
czem żegnała go, całując stygnące już ręce. Hryć So-  
roka szedł przy noszach i chwytął z ust pana ostatnie  
wyrazy, któremi mu polecał wioskę, żonę, dziecko, opiekę  
wszystkiego i staranie o wszystkim. Tymczasem ze  
spuszczoną głową i myślą skołataną szedł przodem pleban  
do dworu, wyprzedzając z ciężką do wypowiedzenia no-  
winą, smutne łoże myśliwca... Jakby na przekór wy-  
padkowi temu, który miał żałobą okryć wszystkich, nie  
było nawet przeczucia smutku w wesołym dworze. Na  
ganku siedziała pani Joachimowa z nieodstępniemi klu-  
czykami u pasa. bawiąc się ze szczebiocącym dziecięciem  
swojem: Staśka głosek srebrzysty rozlegał się daleko i  
pierwszy powitał księdza wchodzącego przez wały w dzie-  
dziniec. Ujrzała go z daleka pani domu i zdziwiona  
niezwykłemi w porze raunej odwiedzinami, ale rada  
przyjacielowi, nśmiechnęła się do niego. Cicho i błogo  
jakoś było w ocienionem podwórku, na którego zieloną  
murawę wybiegło dziecię klaskając raźnie z batożka.

Księdzu ścisnęło się serce na ten widok, który za  
chwile miał się tak straszliwie zmienić; stanął mimo-

wolnie, załamał ręce. nowe łez strumienie puściły mu się z oczu. To zastanowienie się gościa wziął mały Staś za wyzwanie do swawoli i żywo przybiegł do proboszcza; spojrzał mu w oczy figlarnie i njrzawszy w nich łzy, odwrócił się niespokojny do matki.

Pani Joachimowa uśmiechała się jeszcze, żadna myśl gończa nie przebiegła zwiastując jej smutek, przez spokojne serce; nie widziała płaczn, nie domyślała się nowiny. Wrytym stał ksiądz przez chwilę, ale potrzeba iść dalej, wymógł na sobie siłę i zbliżył się. Teraz wejścia dość było, by poznać, że niesie brzemię, którego złożyć nie śmie, znając ciężar jego. Jak piornu przeczucie straszne nderżyło w serce żony, krzyknęła, podbiegła i wzrok z pytaniem gwałtownem ntopiła w jego oczach.

— Księżu proboszczu, mów, mów, co się stało? na Boga!

Biedny posłaniec wziął w milczeniu na ręce chłopaka i podał go pani Joachimowej.

— Jesteś matką — rzekł głosem stłumionym — pamiętaj o tem, żeś matką!

— Co to jest? — cała drżąca i zbladła zawołała kobieta coraz więcej przerażona.

— Bóg cię dotknął — dokończył słabnącym głosem duchowny — wielkiem zagrożona jesteś nieszczęściem. pamiętaj, żeś matką! Twój mąż...

Nim dokończył, krzyk rozpaczy się rozległ. ale kobieta nie padła bezsilna pod ciosem; natchniona boleścią i uczuciem obowiązku, zerwała się, poczęła biedz nieprzytomna. a słaby starzec ani mógł myśleć ją dogonić. Biegła drogą ku wiosce, wiedzona instynktem przywiązania. Dziecię widząc matkę niekającą, z krzykiem

rozpłakało się, proboszcz przy niem pozostać musiał.

Serce jej już było wszystko odgadło, i leciała przeciwko rannemu, widząc obraz jego przed oczyma tak jasno, tak wyraźnie. Jakby go już oglądała wprzód; wiedziała o swem nieszczęściu, choć go jej nikt nie wypowiedział jeszcze... strunienie krwi lały się przed obłąkanym jej wzrokiem...

Ujrzała orszak ludzi idący drogą powolnie... zielone nosze gałęzi... tłum cisnący się ku nim... strugę czerwona na scieżce, którą przeszli... bez jęku, bez głosu, wysiłkiem potężnym przypadła do męża.

On konał już, piersi podnosiły się szybko, żywo, łapiąc ostatek powietrza i nie mogąc go pochwycić, oczy jego gasły i zasuwwały się mglistą powłoką śmierci... zobaczył ją jednak jeszcze, wyciągnął rękę ku niej i coś nakszałt uśmiechu przesunęło się przez sine usta. Poruszył niemi, chciał mówić, szept niewyraźny stłumił się w piersi. Ludzie stanęli, ona uklękła przy nim. Joachim spojrział na stary dwór jakby wzywał dziecięcia; zrozumieli to ludzie i z gromady ich dwóch rącho wybiegło po sierotę. Umierający ciągle zdawał się wysilać na kilka słów ostatnich i zebrać się na nie już nie mógł... krew upływała potokiem, a z nią sączyło się życie.

Przyniesiono zapłakanego i przełękłego Stasia, przybiegł ksiądz: otworzył oczy konający raz ostatni, dźwignął rękę i ta opadła skrzepła. zdrętwiała już, na jasnawłosą główkę dziecięcia.

Duch wrócił do Boga, który go dał.

Trudno słów znaleźć, by opisać straszną boleść żony, przywiązanych sług i pociwłego ludu wioski, który w początku z nieszczęściem swoim oswoić się nie mógł. W chwili wszystkie roboty przerwane zostały, co żyło

leciało do pana otaczając nosze jego grobowe, z których jeszcze sączył się krwi krzepnącej ostatek, a życie co ją wydało już było niekiedy. Lkania rozpaczy, jęki boleści, rozległy się po całej wiosce. Z chinurnemi czołami przyszli starzy gospodarze wioski, stanęli milczący nad umarłym i po siwych brodach płynęły im łzy ciche, żal starców głęboki był, poważny i zaniemiały jak grób.

Wdowa z dzieckiem na rękę klęczała na ziemi i przerywanym głosem niekiedy tylko powtarzała z rodzajem obłąkania: — Wdowa! sierota! wdowa! sierota!

Siłą prawie oderwać ją musiano od męża: powstała wreszcie rozkazując zwłoki jego niesć za sobą, a cała wieś poszła za nią. Już wówczas nie żył stary Fedko Gruzda, któregośmy widzieli w początku tej powieści, a na czele gromady stał od lat kilku zjawiony w wiosce Hryć Soroła, który gdzieś z dalekiej powrócił wędrówki po długich niebytności latach; ten teraz zdawał się tajemnym zwierzchnikiem gminy.

Hryć Soroła pochodził z zamożnej rodziny wieśniaczej, która od niepamiętnych czasów jedno uprawiała pole i zamieszkiwała domostwo, a zawsze w wielkiem była poszanowaniu u wszystkich. Było ich trzech braci; najstarszy długo przodkował w gromadzie i w chacie z młodszemi razem się godząc na jednym gospodarstwie; lecz zmarł w lat dziesiątek po ojcu i następny z Hryciem razem objął po nim dziedzictwo. Ale niedługo pracowali wspólnie, bo Hryć najmłodszy, za pozwoleniem pana niewiadomo dokąd oddalił się z wioski. Nie było go bardzo długo, lecz znać wiedziano co się z nim działo, bo o nim nie wspomniano domyślając się, ani wzdychano tęskno; ale gdy kto o niego pytał, tajemniczo odpowiadano: — Hryć poszedł na inny chleb. Brat



młodszy ożenił się wkrótce. pracował na ojcowiznie z najętym tylko parobkiem we dwojgu i z żoną, i jedną zostawiwszy córkę, przed pięcią laty umarł. Śmierć jego jak z pod ziemi wywołała Hrycia, który zjawił się nagle we wsi i zajął się gospodarstwem przy bratowej. Był to nie młody już człowiek, milezący, poważny, pracowity. i na niego po Fedku Gruzdzie musiał paść wybór gromady Starego, bo jej widocznie od tego prawie czasu przewodził. Rodzina Soroków zawsze jakiegoś szczególnego szacunku doznawała od współbraci; nawet gdy inni przewodniczyli gromadzie; dziad, ojciec i bracia Hrycia w wielkiem byli u ludzi zachowanin. i na ich radę, ich słowo. miało wzgląd wielki w każdym ważniejszym postanowieniu.

Chata Soroków leżała na samem wierzchołku wzgórza, po którem rozrzucona była wioska i przytykała do pola usianego szaremi mogiłami zielonemi. gdzie już od wieków nie było smętarza, ale ją zwano starem Zgliszczowiskiem: rozróżniając od drugiego w lesie teraz położonego. które Nowem Zgliszczem mianowano. Stare to i nieco od zwykłych chat wieśniaczych obszerniejsze domostwo. wznosiło się na szczytce pagórka otoczone gruszaną i lipami, w których liczna stała pasieka. Ściany izby nieco w ziemię zapadłe. ale jeszcze zdrowe i proste, zbudowane były z zawiędłego dębowego drzewa, które przybrało tę barwę szarą, jaką się zwykle dąb wystawiony na powietrze po długich latach odziewa.

Budowa jej była misterniejsza od dzisiejszych na prędce kleconych jako tako chałup, i widać w niej było, że ją z jakimś przemysłem i staraniem wznoszono.

Przed ścianką od czoła był okap obszerny wystający, sparty na czterech słupkach rzeźbionych, takiego kształtu



na jakie się już dziś nie trafia. Podpory te niepodobne wcale do niezgrabnych naśladowań słupów architektury greko-rzymskiej, były zupełnie odrębne i oryginalnego kształtu z przepaskami w pośrodku, z czółkiem dziwacznie wyrzynanem i wysoką podstawą. Oprócz nich końce belek wystające na zewnątrz, a nawet krokwie, odrzwi i nszaki okien okryte były także misterną rzeźbą zręcznie wykonaną, i nie bez pewnego wdzięku. Szczyt chaty kończył się floresami a okienka wycięte w nim dla gołębi, ozdabiały różne wygięcia symetrycznie sobie odpowiadające i zgadzające się z rysunkiem szczytu. Widocznie w tej ornamentacji starej był ślad jakiejś sztuki, jakiegoś stylu rodzimego, który bezpowrotnie zniknął, wytepiony napływem obcych wymysłów i naśladownictwem cudzego.

Pod okapem leżały trzy kamienie na siedzenia przeznaczone, z których średni, największy kawał piaskowca, dziwnemi kształty zdawał się zdradzać, że nad nim ludzka pracowała ręka; dwa mniejsze podobne mu, miały z nim niejakić form podobieństwo.

Na podwórko wiodła wysoka brama drewniana pokryta daszkiem słomianym, związana z belek kształcących ścięty po rogach prostokąt; przy niej tuż, była mniejsza ze wschodkami furtka. Wszedłszy w dziedziniec na lewo rozciągała się chata i za nią obejście gospodarskie, połączone starym zwyczajem niemal pod jednym dachem: na prawo zieleniał ogródek z ulami, gruszkami i loszkiem w ziemi wykopanym, na którego dachu czepiały się, strojąc go prześlicznie, wielkie liście dyni. Wewnątrz chata Soroków nie różniła się niczem od innych zwyczajnych, chyba może większą czystością,

wyrzynaniami na belkach i sprzętem widocznie bardzo starym. ale nie zużytym.

Tegoż wieczora. przed chatą swoją na wielkim kamieniu z posepną twarzą siedział stary Hryć Soroka i dumiał zatopiony w myślach głębokich. a na górę po krętej ścieżynce szli powolnie ku niemu kilku gospodarzy wioski. Z miejsca na którem spoczywał widać było daleko okolice całą. a naprzeciw prawie stał dwór i drzwi jego główne z między drzew połyskiwały już pogrzebowem światłem. Hryć właśnie na ten smutny blask zwrócone miał oczy.

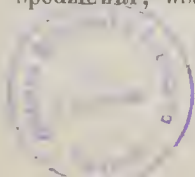
Dwóch czy trzech gospodarzy weszli na pagórek, zobaczyli starca zadumę i jakby mu jej przerywać nie chcieli, przyzostali trochę opodal oparłszy się o płot dębowy. szepcząc coś pomiędzy sobą. Nadeszło później kilku jeszcze, zebrała się gromadka. ale wszyscy trzymali się w oddaleniu. nie zbliżając natrętnie ku starcowi. On ciągle jeszcze miał oczy wlepione w drzwi jasne, które coraz widniej błyszczały wśród cienia drzew. świecami w koło katafalku pozapalanemi.

Twarz Soroki była na podziw piękna i szlachetna, przypominała spokojnym, głębokim smutkiem bohaterów Ossjana i starych lasów islandzkich: rzekłbyś wskrzeszone oblicze owej postaci podań ludowych. którą wieki zolbrzyniły. Jasne i podniesione czoło obnażone z włosów u góry. strojne dokoła w długie białe spadające pukle. nie potrafiło jeszcze słońce, wiennej dogrzewające pracy. opalić: piękne niebieskie oczy. pełne uczucia i zadumy tesknej. zachowały ogień i żywość młodości i w ustach był także smutek, ale smutek męzki, poważny; uśmierzony doświadczeniem długiego życia, co wiele przeboleło i nauczyło się mierzyć z cierpieniem. Piękna

ale niezbyt długa jeszcze broda siwa, okrywała piersi starca. Miał na sobie świętą białą sznurkami pasowemi wyszywaną, z kapturem na plecach, ujętą pasem pięknym, także czerwonym; w rękę trzymał swoją wysoką baranią czapkę i zakrzywiony kij biały, z którym zawsze chodził. Laska ta dosyć wysoka, zagięta u wierzchu, była jakby godłem jakiegoś dostojenstwa, czy spadkową pamiątką, nważano bowiem, że jej wyłącznie rodzina tylko Soroków używała. Fedko i z rodzin innych pochodzący naczelnicy gminy nie nosili takiego kija. Po bracie wziął go Hryć Soroka, a gdy Jan ciekawy pytał co znaczy ta laska w jego rękach, odpowiedział niewtajemniczonemu dworakowi — zachciełicie! a cóż ma znaczyć? podstarzałem, to się podpieram.

Rodzina starego, bezżennego dotąd Hrycia, składała się z bratowej, niemłodej już kobiety, niemal jak on poważnej i szanowanej, do której wszystkie niewiastki wiejskie biegły w każdym przypadku po radę; z synowicy Kekelji, ślicznego młodziuchnego dziewczęcia, i dalekiego krewniaka, który z parobkiem najętym całe gospodarstwo obrabiał. Szło ono dobrze, chociaż Sorokom oddawna się nie powodziło, częste klęski nawiedzały chatę i dobytek, a dzieci nawet ciężko się hodowały. Teraz na jedynaczkę Kekelję spadało dziedzictwo po ojcu i stryju i zamożny porządek i rola dobrze uprawna; nie dziw też, że śliczne dziewczę, choć młodziuchne jeszcze, już miało do ręki swej ochoczych i swatów co chata.

Kiedy tak duma Hryć stary, a gromadka poważniejszych gospodarzy już się ściagnęła, jakby się ich przyścisła domyślił czy spodziewał, wstał z kamienia nagle, i



obejrzał się witając ich smutnie. Ruszyli się zaraz i przystąpili wszyscy ku niemu.

— Witajcie ojcowie, — odezwał się głosem dzwicznym powolnie — witajcie, — choć nie wesoło nam dzisiaj powitać się... Spadło wielkie nieszczęście na sióło nasze, jakiego nie zazналиśmy dawno, ani przeczuwać mogli. Poczciwy pannasz leży na marach, a my z wdową i sierotą zostaliśmy, wiecie że nam ich oddał, myślnyż żebyśmy spokojni byli w sumieniu i nie zawiedli umarłego.

— Uchowaj Boże! — odezwało się kilku — uchowaj Boże! — Potrzeba pomyśleć, — dodał jeden występując i spierając się na długim kiju; — oj! bo prawda, nie było w Starem nigdy ani tak dobrego pana, ani tak wielkiego nieszczęścia! żyliśmy długo jak u Pana Boga za piecem; było się komu nami zaopiekować, teraz my sami sieroty.

— I opiekunowie, — rzekł Hryć.

— Potrzeba pomyśleć, — odezwał się inny, — tak, tak! święty obowiązek nasz, związały nas ostatnie słowa zmarłego, ja sam je słyszałem, ale i bez tego gromada Starego czułaby się do litości i opieki nad poczciwą krwią swoich panów. Nie damy jej przepadać! Któż bliższy od nas?

— Tak, — zawołał Hryć, po chwili, — trzeba to powiedzieć wszystkim do najmniejszego dziecka, że teraz dobro ich, dobro nasze i sława nasza, ich mienie i spokój, to nasza pocziwość. Na nikogo teraz się nie spuszczać, wszyscy głowy potracą, my im gospodarze i ekonomowie. Ja sam na dwór i na potrzeby będę naglądał, żeby niczego nie brakło; wy ojcowie, uważajcie na rolę,

jak skoro po pogrzebie. trzeba dobrać i podosiwać. Nasienie z gromady wybierzemy.

— Rozumie się, — bądźcie Hryciu spokojni, wstydu nie zrobim ani ojcom naszym ani sobie. będzie jak być powinno w Starem, — z niejaka dnmą rzekł jeden ze starszych gospodarzy. — Teraz nam o przystojnym pogrzebie pomyśleć, bo i to na nas.

— Tak! tak. — powtórzyli wszyscy. — pójdziemy, czas jest odprowadzić go, i nikt nie poniesie tylko my na mogiłki...

Hryciowi łza spadła z powieki, otarł ją i mówił dalej.

— Trzeba się nam robotą podzielić, bo jej nie zabraknie, a młodym taką tylko powierzyć, gdzie więcej nóg niż głowy potrzeba, bo mogą nam sromu narobić, nie ze złej woli, ale z niedoświadczenia. Ja pójdę naradzić się z księdzem, może tam co brakuje, trzeba wcześniej pomyśleć. wdowie teraz łyzy tylko w oczach. Foma niech zaraz zaprzęga i jedzie do Podkamienia i zamówi dla nas księży Dominikanów z nabożeństwem i przyborem. Nie pożalujemy zachodu i grosza. niech Indzie widzą żeśmy go kochali, że go i po śmierci szanujemy: weźmiecie groszy z sobą... są jeszcze składkowe gromadzkie. Dwóch niech pilnuje dworu, dwóch stanie na posyłki, dwóch do toku dla pilności...

Tak rozporządzał stary z dziwną przytomnością, chociaż łyzy miał w oczach, gromada słuchała z uszanowaniem, potakując głowami słowom jego. Radzono długo i chmurno rozeszli się gospodarze po chatach, przed których przyźbami stały jeszcze kobiety spoglądając na dwór i szepcząc coś pomiędzy sobą. Cała wieś była w poruszeniu i nikt prócz drobnych dzieci oka nie zmru-

żył, bo głęboko wszyscy czuli stratę i szczerze pragnęli wspomódz pozostałe sieroty.

Hryć pożegnawszy braci przyzostał u chaty, usiadł znowu u kamieniu, i do czarnego zmierzchu z wlepionem okiem w blask świec gorejących u katafalku pozostał; potem wolnym krokiem spierając się na kiju pociągnął się ku dworowi.

Jakże tu teraz było smutno, jak jedna chwila kirem oblokła wszystko! nawet to co nie cierpi z człowiekiem i boleści jego nie dzieli, zdawało się mieć wyraz smutku: drzewa szeleściały jakby pacierzem mogilnym, wiatr świstał z jękiem płaczliwym, mglisto płonęły żółte świece i lampy przy niskim katafalku, a na każdej ludzkiej twarzy przebiegająca śmierć wyryła piętno swoje, piętno zdumienia i strachu.

Wielka sień starego domostwa stała otworem drzwiami i oknami; w pośrodku uiej na tapczanie pokrytym ko-biercem żółtkły już trup z założonemi na piersiach rękoma. czekał na ostatnie swe łożo i szczupły domek drewniany, co szczątki jego miał zamknąć na wieki. Jesienny powiew szumiał w bliskich drzewach i liście z nich pożółkłe chwilami wpędzał do izby, smutnym wieńcem zeschłej zieleni strojąc łożo śmiertelne, rozdymając światło, które kopiąc gorzało długimi knoty i świszcząc w przebiegu...

U nóg zmarłego na ziemi siedziała spłakana pani Joachimowa i dziecię-sierota usnęło po płaczu... dla niej łyzy tylko wypoczynkiem były... zatopiona w myśli chwilami zdawała się jak nieprzytomna, to znów budziła się łkaniem i jękami.

Głos pocziwego księdza przypominający jej Boga i

dziecię. sam jeden rozpacz hamował. którą widok zmarłego podbudzał.

Jana nie było jeszcze z powrotem, choć pojechał rano.

Hryć przyszedł powolnie, stanął we drzwiach, przeżegnał się. pomodlił. westchnął i oczekiwał na coś. Obląkany wzrok wdowy padł na niego po chwili, i starzec skłonił się przed nią, szanując w niej podwójnie, swoją panią i nieszczęście jakiego doznała. Wzrok który spotkał jej wejrzenie tak był współczucia i litości pełen, tak łzami przesiąknięty, że choć cierpienie wszelką myśl odganiało od niej, pani Joachimowa powstała i zbliżyła się ku starcowi.

— Patrz! patrz! — zawołała z jękiem przeszywającym — o! mizerne ludzkie życie! w co się to ranna moja obróciła radość; dziś jeszcze o brzasku liczyłam się do szczęśliwych... i dziś ostatnie słońce zaszło doli mojej i doli biednej dzieciny... On umarł! on umarł! I umarł tak okropnie, tak przedwcześnie, nagle, straszliwie, zostawując nas samych na Bożym świecie, samych, sieroty zupełne!

— Nie, nie, — żywo odparł z uszanowaniem ale z uczuciem Soroka — on konający nam was powierzył, wiernej swojej gromadzie. Nieśliśmy go konającego na barkach i przemówił do nas głosem ostatnim, żebyśmy byli opiekunami waszemi i ojcem dla jego dziecka... i będziemy! — dodał Hryć głośniejszym głosem — przysięgam to wam, oto przy tych martwych zwłokach jego.

— On to mówił? on tego chciał po was? — spytała wdowa.

— To były słowa jego, słyszałem je, ale gdybym ich nie słyszał, gromada Starego poczułaby się do obowiąz-



zku swego. My z panami naszymi złączeni jesteśmy od wieków jedną dolą i jedną ziemią, jednym kościołem i smętarzem, jednym chlebem i łzami; nasi ojcowie cierpieli z ojcami waszemi i radowali się z niemi; myśmy pracowali dla nich potem, oni dla nas krwią swoją. Nie było na wsi radości, w którejby dwór nie miał udziału, nie było w dworze wesela na któreby nas nie wezwano: wszystko nam było wspólne, aż do pracy którą wyście kierowali głową, my spełniali rękami ochoczo. Ten wielki węzeł pani nasza, nie zrywa nic, bo by się potrzeba zaprzeć przeszłości i ojców, których chyba zwierzę nie zna; myśmy twoi opiekunowie, obrońcy, słudzy, a Bóg nad nami wszystkiemi z opieką Opatrzności.

Lzy rześiste puściły się z oczów biednej matki i wybiegła cała wzruszona do kolebki syna. wiodąc za sobą starego.

— Oddaję go więc wam, poczeiwi bracia nasi, — zawołała — oddaję sierotę w ręce wasze, nie chcę innych opiekunów dla niego nad moje serce i wasze.

Hryć pokłonił się u kołyski matce i dziecku spjącemu, przyłożył rękę do piersi i wzrokiem szczerzej litości pobłogosławił dziecinę; gdy matka wrażeniami straszliwego dnia złamana, padła i straciła przytomność.

Zawoławszy sługi, wysunął się starzec, a pomodliwszy chwilę przed zwłokami i obejrzawszy w koło domostwo, zaspokoivszy księdza o potrzeby pogrzebowe, rozporządziwszy ludźmi, zwrócił się nazad ku chacie.

Na drodze słyhać było zdaleka tentent zziąjanego konia, ktoś prosto leciał do dworu, a co dziwniej z szaloną wesołością urągającą smutkowi trąbił w róg myśliwski. Głos tej trąbki wrzaskliwy, ochoczy, strasznie się jakoś dziko odbijał po wzgórzach i lasach, sprzecząc



dziwnie z żałobą która okrywała wioskę całą. Hryć zadrdzał wstrząśniony z gniewu, i pośpieszył co miał siły przeciwko jezdca, którego schwytał za cugle i wstrzymał krzepką dłonią.

— Kto tu śnie huczeć, — zawołał potężnym głosem — a to ty Janie! — rzekł zdziwiony poznając sługę nieboszczyka — to ty? co ci się stało?

Jan z rozczochranym włosem siwym, z błyszczącym dziko okiem, krwią i łzami nabiegłym, z twarzą pałającą, w odzieniu rozwianem i oszarpanem, bez czapki, zdawał się zupełnie nieprzytomny; trzymał w drugiej ręce róg tylko co od ust odjęty, uśmiechał się i był jakby pijany. Śladu boleści na twarzy jego nie widać, tylko oblakaniem zmieniona do nie poznania.

— Co ci się stało? oszalałeś, — powtórzył Hryć chwytając za cugle konia, który robił bokami zasapany i choć zlany od potu, rwał się bo go jeździec naglił jeszcze. — Pan na marach...

— Jadę do dworu! do dworu, puszczaj mnie! jutro wielkie polowanie! wracam od księży z Podkamienia, prosiłem wszystkich z przeorem na obławę... Ogromny odyniec w lesie! trzeba go koniecznie zabić, inaczej nas wszystkich pożre... krew będzie się lała... wszyscy poginą... śniło mi się dziś rano...

— Ale co ci jest Janie! w głowie ci się przewraca, pan na marach!

— Kto to mówi że pan na marach! A to ty zbójco, złoczyńco, coś go zabił! — zakrzyknął stary schwytyjąc się z konia i przypadając do Hrycia... — bezcelne kłamstwo, odszczekasz mi je. Sam wyprowadziłem go dziś na polowanie, był zdrow, uśmiechał się, to fałsz, to zdrada! to zabójstwo!...

Nim Jan miał czas ścisnąć za gardło wieśniaka, bo się do niego zamierzył, już go ten pochwycił silnie za obie ręce, i tak skrępowanego zawrócił z sobą ku chatie, obawiając się żeby krzyk i trąbienie biednego obłąkanego, nowego niepokoju nie było przyczyną we dworze.

— Chodźmy, — rzekł mu Hryć — we dworze pusto, państwo wyjechali, ludzie śpią, przenocujesz u mnie.

Jan słuchał i nie słyszał, z wielkiego gniewu, pokonany, przeszedł nagle do wesołości straszniejszej jeszcze.

— Wyobraźcie sobie Hrycin, — rzekł zanosząc się — wszyscy dominikanie z Podkamienia, nawet nieboszczyki co to ich Tatarowie pozabijali dawniej, zjadą na jutro do ostepu. Ja nieboszczyków najwięcej prosiłem, bo ich tam ćma jest... Dziki boją się białego odzienia i czarnych płaszczów i krzyża świętego, bo to pewna że wszystkie bestje leśne przez djabłów są opętane... Pokropim knięję wodą święconą, a potem dalej na nich z dominikanami. pana postawię na wysokim pnin, a z sałaszy będzie patrzeć jejmość i mój Stasiek. Ale puszczajcież mnie, bo psy nie będą gotowe i ludzie się pośpią...

Hryć jakby nic tej płataniny nie słyszał, prowadził z sobą Jana do chaty, a koń tymczasem chrapiąc wyrwawszy się poleciał ku stajni. Jan wyrwał się jak mógł, ale stary wieśniak miał siłę olbrzymią i władał dworakiem jak dzieckiem. Zaprowadził go z pomocą spotkanych dwóch parobków do swojej chaty i tu do czasu zamknął w alkierzu.

— Biedny Jan, — rzekł do starej bratowej, — oszalał z wielkiego żalu, a na taką chorobę podobno nie ma innego lekarstwa, jeno śmierć.

---

Młode listki wiosenne powiewały na drzewach, świat się uśmiechał znowu do życia, i na mogile pana Joachima puszczała zielona trawka: we dworze smutek i pustka, przy niej przykrzej jeszcze odbija szczebiotanie dziecięcia i jego wesołość.

Stary Jan już nie odzyskał przytomności straconej, ale obłąkanie jego zmieniło się w łagodny smutek, myśli mu się pomieszały i pokrzyżowały, przeszłość złana z teraźniejszością, straszliwy wypadek którego był świadkiem zatarł się w pamięci zupełnie. Wyobraża on sobie, że Staś jest Joachimem, że go piastuje jak dawniej, o śmierci pana nic nie wie, i boi się tego wszystkiego co ma podobieństwo do dzika, ntrzymując że djabły opętały zwierzęta. Czasem wspomina o polowaniu jakby na nie czekał i wygląda tylko zaproszonych dominikanów z Podkamienia, zwłaszcza nieboszczyków, by z nimi jechać do kniei; to znów zapomina o łowach i cały oddaje się dziecku, którego na krok odstąpić nie chce. Biedna matka przez litość nie odpycha starego, pocziwe jej serce mimo bólu usiłuje nawet wobec obłąkanego starca dawać dziecięciu to imię jakim go Jan woła; sama złamana cierpieniem, pociesza i słodzi tego, któremu rozpacz na wieki wydarła przytomność.

Czasem wśród uśmiechu łączy się jej potoczą po białej twarzy, i gorączka je osnszy. Siada na ganku, z którego przez drzewa kazala przeciąć widok na mogiłki i kościołek, pogląda w tamtą stronę i duma.

Nieszczęście rzadko przyjdzie samo jedne, wlecze ono zwykle za sobą długi orszak żałobny: przed mężem jeszcze straciła Stareńska ojca, po nim już pochowała matkę jedyną swą i najlepszą przyjaciółkę, pozostał jej

brat tylko. Dobry to był człowiek i przywiązany do siostry po swojemu, ale tak się zawczasu wciągnął do gospodarstwa, że w niem uwiązał cały; ożenienie, dwoje dzieci, uczyniły go skrzętniejszym jeszcze; człowiek a brat znikł w nim przed ekonomem, nie miał już serca tylko do swojego zajęcia. Rzadko nawet i to chyba wezwany odwiedził siostrę, która zupełnie została samotną. bo ksiądz tylko staruszek, kilka litościwych sąsiadek, czasem jaki nieproszony urzędnik. zawitał do opuszczonego dworu.

Piękna i młoda Marja wiedła we łzach i pracy, ustawicznie potrzebując sobie powtarzać że jest matką, by się z życiem pogodzić. Była to jedna z tych rzadkich dziś niewiast, pojmujących przedewszystkiem świętość i wielkość obowiązków, wierzących że raz tylko w życiu kochać można i raz się życiem podzielić. Pierścionek ślubny, którego nie zrzuciła z palca wiązał ją z grobem na zawsze.

Nikt przecie wierzyć nie chciał, by smutek, żal i poświęcenie wspomnieniu wiecznie tak trwać miały, bo nikt nie przypuszczał żeby umarłego równie, a może więcej nad żywych kochać można. Są przecie serca rzadkie dla których duch przeżywa ciało, i wiecznie trwa przytomny u ich boku. Marja widziała Joachima ciągle przed zapłakauemi oczyma, sama się oszukując, dobrowolnie szukała go wzrokiem, wyglądała dłużej, czekała nań jakby się tylko na chwilę oddalił i za chwilę mógł powrócić. Otaczały ją pamiątki po nim, a najulubieńszym jej pobytem był ganek z którego widziała mogiłę, lub pokój Joachima, gdzie wszystko zostało jak było za jego życia.

Tymczasem przyjaciołki i przyjaciele starali się ją

w swój sposób pocieszyć i rozerwać, dziwując że to co weseliło drugich, ją zasmucało tylko lub męczyło.

— Przejdzie to ta tęsknota, — mówili ludzie, — kobieta młoda, nie może tak zwiednać, smutek przeboleje, zapomni i... pójdzie za mąż jak drugie.

Niektóre dodawały dobroduszenie, stawiając za przykład siebie.

— Słowo w słowo tak samo płakałam i rozpaczałam po nieboszczyku mężu, a dla tego musiałam pójść za mąż, i choć co rok daję na nabożeństwo po dawnym, bo go jeszcze kocham, nie przeszkadza mi to kochać i mego teraźniejszego...

Właśnie gdy się to działo, w okolicie Starego i w najbliższe sąsiedztwo przybył mężczyzna młody. całkiem nieznajomy w tej stronie, który Zalesie wziął dzierżawą. Wiedzano tylko że się nazywał Juljusz Zlewa, że trzyletnie z góry zaliczył pieniądze, i że z nikim żyć nie chcąc, zamknięty w domu, oddawał się cały gospodarstwu, a wolne chwile trawił z książką lub strzelbą w rękę. Młody, przystojny i jak się zdawało nie ubogi przybysz, bo wszystko co go otaczało zdradzało dostatek, z powierzchownością świadczącą o wychowaniu, z twarzą zajmującą i smutkiem obłąną; nie mało nakłopotał okolicę od której stosunków usilnie zdawał się stronić. Nadzwyczaj więc zaintrygowało wszystkich gdy się dowiedziano nagle, że był w Starem. Na pierwszą wieść o tem, natychmiast stare panie wykrzyknęły klaszcząc w dłonie: — Zobaczycie, że on się z nią ożeni!

Tymczasem tajemniczy Juljusz prawdziwie przypadkiem zawitał do Starego; potrzebował kupić drzewa na opał, i po prostu dla umówienia się o to, przybył do

ekonoma, ekonoma nie było, odesłano go do pani. Tak się zrobiła znajomość niespodzianie.

Osamotnionej kobiecie miłem być mogło, że ktoś inny, nowy, i nie tak jak starzy znajomi, natrętny, zawitał do pustego dworu. Juljusz zadziwił się temu widokowi szczerzej żałoby; i mimowolnie zajął się piękną wdową. Znać łatwo wrażliwy, od razu poczuł że przy-padkowa znajomość ważnym będzie w życiu jego wypadkiem. Zatrzymał się dłużej niż było potrzeba, bawił się ze Stasiem rozczulony, wysłuchał drżący krwawego opowiadania o śmierci pana Joachima i odjechał pijany, rozmarzony, smutny i szczęśliwy. Nie trudno odgadnąć że wkrótce nowa potrzeba gospodarska powołała go do Starego, gdzie równie gościnnie i miłe w prostocie ducha był przyjęty; Staś go poznał i kazał mu bawić się z sobą, a któżby odmówił co biednej sierotce? Marja pomyślała że te odwiedziny różnie ludzie tłumaczyć mogą. ścisnęło jej się serce trochę, ale spokojne sumienie odepchnęło bojaźń języków złośliwych. I Juljusz zabawił dłużej, a powrócił do domu gorzej pijany, rozmarzony więcej, smutniejszy i szczęśliwszy.

Po kilku dniach powrócił raz trzeci, przyjechał raz czwarty. a Marja której synek polubił miłego gościa, powiedziała sobie: — Cóż mi ludzka mowa, gdy sierotka się moja zabawi? Mogę dla niej pocierpieć trochę, a świat pomówi, uśmiechnie się i zapomni.

Gdy się to dzieje w Starem, sąsiedztwo oblatują powiększane coraz wieści o staraniach przybysza, już ktoś łaskawszy od innych poszedł po rozum do głowy i upłócił baśń o dawnej znajomości Juljusza z Marją, już ich żenią, już się zapraszają na nowe wesele. Ale nikt tak gorliwie nie pracuje językiem, jak pani Emerykowa.

Rzadkabo to kobieta pani Emerykowa, umysł niezmordowany, ciało nie mogące postarzeć, a płochość dziecinna mimo lat pięćdziesięciu. Miała sobie za obowiązek wiedzieć najdokładniej o wszystkim co się działo w sąsiedztwie; znała życie każdego z najdrobniejszych szczegółami, zajmowała ją równie kłótnia małżeńska, sprzedaż zboża, odprawienie ekonoma, zmiana pokojówki i sprowadzenie nowego czepka ze Lwowa. Z nadzwyczajną zręcznością z drobnych na pozór wiadomostek, umiała ona skleić i wyrozumować rzeczy nierównie większe, których nawet w zarodzie nie było. I tak kłótnia naprzykład małżonków naprowadzała ją na drogę domysłu o innych przywiązaniach za domem, które zaraz odgadnąć nsiłowała i podawała jako niemylny komentarz sporn: sprzedaż zboża zwiastowała upadek w inwentarzach spowodowany wydatkami tajemniczemi; odprawa ekonoma tłumaczyła się jakąś potajemnie intrygą, odmiana pokojówki umizgami pańskimi, które niechybny rozwód zapowiadały; a nowy czeppek ze Lwowa także mógł czasem znaczyć bardzo wiele. Pani Emerykowa nieporównanej była zręczności w wyciąganiu wniosków i sianiu wszelkiego rodzaju plotek: niezmordowanej gorliwości o dobro cudze, o moralność powszechną, gdyż zawsze niby w imie ich działała. Dziwna ta kobieta, której ani wiek, ani straty, ani choroby pokonać i złać nie mogły, doszła pięćdziesięciu lat w niesłychanej pracy, wypłacającej się tylko wewnętrzną satysfakcją i strachem, który siała w koło siebie. Rzadki dzień przesiadywała w domu, a rzadziej jeszcze trafiło się żeby gdzie nie wyprawiała posłańca na wzwiady. Miała formalnych szpiegów po ważniejszych punktach okolicy i najdoskońalszą policją; nikt też do moralnej statystyki sąsiedztwa



tak wybornie zebranych nie posiadał materiałów. Szczepotyliwości niepoohamowanej, wesołości utrapionej, złośliwości większej niż dowcipu, pani Emerykowa panowała w domu i na języku trzymała przerażoną okolicę. Ukazanie się jej żółtego koczka i kasztanowatych koni, przestraszało jak piorun mających cokolwiek do ntajenia, nie bowiem przed nią ntaić się nie mogło, nawet to czego jeszcze nie było, i co się nigdy stać nie miało; ludzie jej zaledwie odłożywszy konie szli zaraz na oględy i gawędy, z których potem ściśłą sprawę zdawać musieli. Nie raz nawet po drodze przejeżdżających żydków i posłańców wstrzymywała, żeby się od nich coś niespodzianego dowiedzieć.

Ale nadewszystko pani Emerykowa lubiła swatać, choćby nawet najstarszych, cóż dopiero młodszych? nie cierpiała próżnujących: panny, kawalerowie, wdowcy, mieli w niej potężnego sprzymierzeńca, a czyją sprawę wzięła do serca, musiał już dobić targu lub wiecznie się z nią poróżnić.

Pana Emeryka zwano pospolicie tylko mężem pani Emerykowej, co go już dostatecznie nialuje, ulubionem jego zajęciem było siedzieć pod piecem i gryźć orzechy lub jeść pierniki. W domu nigdy o nim nie było mowy, wszystko należało i zależało do pani i od pani, ale myliłby się, ktoby z tego wnosił, że pan Emeryk był ubożuchnym dźwigniętym z nicości człowiekiem. Owszem, jejmość żadnego nie wniosła posagu, cały majątek był męzowski, on sam najpierwszym tylko i najlepszym żony sługą. Uwielbienie dla niej tak go ogłupiło, że nie nie robił sam przez się, wszystko z jej rozkazu i dla niej tylko. Miał się za najszcześliwszego, gdy w dowód za-



dowolnienia dała mu garść orzechów i paluszek do po-  
całowania.

Szanowna pani Emerykowa nie miała dotąd przyje-  
mności znać pana Juljusza Zlewy, co ją niesłychanie  
niepokoiło i bolało, odzywała się już nawet: — Co to  
on sobie myśli. że się bez nas obejdzie? zobaczmy!  
zobaczemy!

A to — zobaczemy — pełne było najstraszniejszej  
groźby.

Szczęściem pan Juliusz rad nie rad dał się do pań-  
stwa Emeryków ściągnąć choć prawie gwałtem; gdyż  
po niego wysłano pana Emeryka pod pozorem kupna  
pszenicy na nasienie, a w istocie dla zaproszenia go do  
Hodowa.

Rozstawiła nań sieci znakomita instygatorka i po-  
częła zaraz bardzo zręcznie badać, ale Juliusz z uśmie-  
chem na ustach, wykręcał się wprawnie a grzecznie  
z zapytań nic na nie nie odpowiadając, potrafił jednak  
nie rozgniewać milczeniem upartem.

Powierzchowność przybyła tak jakoś przypadła do  
smaku pani Emerykowej, że zaraz po pierwszych odwie-  
dzinach zawyrokowała: — Bardzo przyzwoity człowiek,  
niezmiernie mi się podobał, pełen taktu! Dojdziemy kto  
taki, juściż nie Żyd i nie wychrząta, nazywałby się ina-  
czej i ma herbowny sygnet na palcu. Ma coś dystyn-  
gowanego, francuszczyzna dobra, maniery większego  
świata... bywał w lepszych towarzystwach... dużo ludzi  
zna po świecie... I kręciła głowę, znacząco.

Dowiedziała się natychmiast nasza pani o pierwszych,  
drugich i następnych odwiedzinach Juliusza w Starem,  
zatarzała ręce z radości i po cichu szeptała już: nieza-  
wodnie się skojarzy!

Przeczekawszy czas niejaki, nie bez myśli rzucając tu i ówdzie słówko o tem, aby dla nikogo bywanie Juljusza nie mogło być tajemnicą; pani Emerykowa wybrała się nareszcie dla dokończenia sprawy do Starego; obiecując sobie, że oświeci wdowę i przyspieszy pożądane wesele, które za swoje dzieło nważyć chciała.

Zastała Marjā w zamku z dziecięciem, ubraną jak zawsze w grubą żałobę. a przy niej starego Hrycia, który tylko co skończył z nią długą jakąś naradę i powolnie za przybyciem gości się oddalił.

W początku obojętnie zagaiła rozmowę, ale wkrótce odprawiwszy dziecię. gdy język coraz mocniej świerzbieć poczynął. przystąpiła do rzeczy.

— Moja tedy kochana pani — zawołała przysuwając się z przymileniem do niej — pozwól sobie usłużyć szczerą, dobrą, przyjacielską radą. Do czego to, proszę cię, ta żałoba, te smutki? jńściż tak całego życia spędzić w Starem sama jedna nie myślisz, bo musisz kiedyś przecie pójść za mąż.

— Ja? za mąż! — porywając się z oburzeniem i uśmiechem politowania razem, zawołała wdowa — ja! pójść za mąż!

— Ale dla czegoż?

— Dla tego, że kocham zmarłego, jakem go żywym kochała, i kocham dziecko moje.

— Ale cóż to przeszkadza?

— Możeż być, żebyś mnie pani o to pytała? — odezwała się Marja z podziwieniem naiwnem tak, że swacha zmięszana oczy spuścić musiała. — Kochając jednego. być żoną drugiego dobrowolnie... godziż się i jest-li podobna?

— Przyznam ci się, że tej przesadzonej delikatności

nie rozumiem — po chwili odpowiedziała Emerykowa — prędzej później nie dasz sobie rady, znudzisz się... i...

— Ja? mając dziecię i wspomnienie!

— Tyś tak młoda! Staś pójdzie w świat od ciebie. zostaniesz sama... pozwól-że mi myśl moją dokończyć— dodała widząc, że pani Joachimowa zabiera się jej przerwać — na cóż masz marnować życie? potrzeba ci pójść za męża, a kiedy już masz iść...

— Ale ja nie pójdę!

— Tak ci się zdaje. o! to imaginacja! Więc kiedy już masz iść, za cóż nie teraz, kiedy jak wiemy — wy-mówiła z przyciskiem — stręczy ci się tak przyzwoity młody człowiek.

— Muie! — krzyknęła cała zapłoniona łamiąc ręce pani Stareńska — mnie! któż to śmiał powiedzieć?

— O, zmiłuj się! do czegoż to udawanie? Alboż nie wiedzą wszyscy, że Juljusz się w tobie kocha? Darmoby się zapierać... Czemu już lepiej nie kończycie...

Trudno odmalować z jaką gorączką gniewu i znie-cierpliwienia porwała się Marja i podbiegła do swachy z zaciśnionemi rękoma.

— Masz pani — zawołała żywo — masz pani dla mnie choć cokolwiek przyjaźni?

— Zmiłuj się! alboż o tem wątpisz?

— Daj-że mi pani jej dowód, i nie wspominaj mi nigdy o zameżciu. To obelga dla mnie. Pan Juljusz jest, nie zaprzeczam, bardzo miłym człowiekiem, mam dla niego wiele szacunku, lubię jego towarzystwo, bo go Staś mój pokochał, ale od tego do złamania ślubu... o! daleko jeszcze, pani!

— Jakiż to ślub ci w głowie? moja Marysiu! — z po-dziwieniem odezwała się Emerykowa.

— Ślub, który mnie z mężem łączy.

— Ależ on umarł.

— Tak jest, umarł dochowawszy swej przysięgi; ja żyję, i pozostaje mi ino ją spełnić, trwając do śmierci wierną jego pamięci; tego dopełnię.

Po tych wyrazach wyrzeczonych z zapalem, głosem, który nie dozwalał odpowiedzi; zamilkła uparta sąsiadka, zamysliła się i kwaśno pożegnać miała dziwaczną, jak ją w dachu zwała, kobietę, gdy przypadkiem Juljusz nadjechał. Oczy jej zabłysły... została.

Wdowa chmurno przyjęła gościa, domysławiając się jakiejś zмовы tam, gdzie nie było żadnej, niecierpliwość i oburzenie nią miotaly i po chwili, wytrwać nie mogąc, wstała i zbliżyła się poważnie do inłodego człowieka.

— Zdziwisz się pan — odezwała się z uczuciem godności i niejaką dumą, że sania poczną rozmowę niezwyčajną i przykrą dla mnie, ażeby ją raz na zawsze zakończyć...

Juljusz powstał, nie mogąc sobie zrazu wytłumaczyć, co to znaczyło, wlepił w nią oczy i zadrżał.

— Posądzają już pana, najniemiennie zapewne, że masz czulsze dla biednej wdowy uczucie nad prostą litość. Ja pana tak płochym nie sądzę. Za taki wybor, w który jednak nie wierzę, musiałabym być wdzięczną według ludzkiego sądu, a w istocie serce mi prawie gniewać się zań każe. Nie łudź się pan, jeśli myślisz o mnie: ta suknia czarna, to dziecię, które nad życie kocham, ta mogiła, na którą codziennie patrzę, dość mówić powinny, że nigdy się nie uczuję rozwiązana z przysięgi, która mnie wiąże do śmierci. Jestem żoną umarłego, ale zawsze żoną... nikt o mnie starać się nie może, bo by mi tem najboleśniejszą wyrządził krzywdę:

posądziłby mnie o brak sumienia. o brak serca, o nędzne udawanie. Ja cierpię, a urągać się boleści nie godzi.

I łzy wytrysły z oczów wdowy. Juljusz stał pomieszany, pani Emerykowa zagryzła wargi i targała woreczek.

— Przebacz mi pani — rzekł nareszcie ochłonawszy nieco Juljusz — jeśliś był dla niej powodem mimowolnym przykrości, bolą mnie te łzy, za które chętnie wylałbym krew moją. Jeśliś miał myśl jaką, zostanie ona we mnie pogrzebaną na wieki; nikogom jednak, wierząc mi pani, do odgadywania jej nie ośmielił.

Spojrzał na sąsiadkę.

— Odtąd pozwól mi pani pocieszać się jej szacunkiem i życzliwością, ja więcej nie żądam.

— Masz pan — podając mu drżącą rękę, rzekła Marja — szacunek, przyjaźń, życzliwość, boś na nie zasłużył, i z tego nie robię tajemnicy, ale powtarzani to, serce moje w grobie męża, ręka w jego pierścieniu, jestem żoną i matką, nikt nie powinien zbliżać się do tej sukni czarnej jak sukni kapłana, z myślą płochą, bo go ze wzgardą odepchnę...

To mówiąc, usiadła poruszona i drżąca.

— Nie rozumiem, co mogło być powodem oburzenia pani na mnie — rzekł po chwili Juljusz — boli mnie to tem więcej, że wygnanemu ze Starego, tęskno będzie jak po raju.

— Ja wcale pana nie wyganim — uspokajając się nieco, zawołała wdowa — mniejsza mi o to, że ludzie różnie sobie nasz stosunek tłumaczyć będą, bo ludzie ludźmi są zawsze, muszą sznkać czegoś brudnego, żeby się nieco pokarmić; proszę pana owszem, żebyś u mnie

bywał, ale bez myśli żadnej, bez żadnego zamiaru... inaczej, mnie byś pan obraził, a siebie zawiódł.

Pani Emerykowej pozostawało wyjechać tylko, nie miała co powiedzieć, burzyła się cała, i już myślała jak w sąsiedztwie całą tę scenę, którą nazywała komedią, opisywać będzie; przeszedłszy się więc parę razy po pokoju i niby przepatrując kwiatki stojące na oknach, wejrzała na zegarek jakby z przypadku, szybko pożegnała wdowę i zostawując ją sam na sam z Juljuszem, pośpieszyła do domu.

Zmieszany, smutny gość chwilę jeszcze przystał, pobawił się w kątka ze Stasiem, nie śniąc już słowa powiedzieć, żeby nie dać powodu do nowych tłumaczeń i objaśnień bolesnych; nareszcie wziął za kapelusz, i chciał się wysunąć, ale wdowa poczęła sama:

— Muszę się panu wytłumaczyć z mojej gwałtowności — odezwała się prawie ze łzami.

— Domyślam się, że powodem wszystkiego musiała być usłużna sąsiadka.

— Tak jest, dała mi nczuć boleśnie, jakie świat ma wyobrażenie o mnie, jak ludzie ocenili serce moje...

— Nie sądzę pani o wszystkich z tej opłakanej próbki— żywo odparł Juljusz — to wyjątek...

— Jakkolwiekbyś, słówko jej niebaczone dotknęło mnie do żywego. Więc mi nie wierzą! więc sądzą, że kłamię łzami! kłamię suknią! samotnością! żalem! wszystkim!

— Ależ pani, powtarzam, to wyjątek...

— O biedne my kobiety! — ciszej zapłakała wdowa — biedne my kobiety. — I twarz ukryła w dłoniach, zamysłając się łzawo i długo; widok ten przeszył młodego człowieka, uczuł jakby zgryzotę sumienia za myśli,

które mu przez serce przebieść mogły, zwilżyły się i jego oczy, niepostrzeżony wysunął się z pokoju.

Smutny włókł się ku pustemu swojemu mieszkaniu, z myślami dziwnie przykreimi, z jakimś odrętwieniem na wszystko: kochał więc, bolał z odebrania nadziei, ale że kochał pocziwie, myślał, że będzie mógł widywać Marję i daleką nad nią czuwać opieką, trochę otuchy wlewała do serca zakrwawionego niespodzianie i srodze.

Zkąd i jak wzięła się ta miłość? jak niespodzianie na tak gwałtowne uczucie urosła, jak zapełniła w nim próżnię serca i duszy, i zagarnęła w siebie życie całe, Juljusz sam o tem nie wiedział.

Niedawno zraniony boleśnie, schronił się na wieś, pragnąc zapomnienia i spokoju, chcąc wypocząć i opamiętać się po szalach burzliwej dosyć młodości; tu znowu spotykał niewyminioną namiętność, udręczenie nowe i rozpacz. — Nigdzie więc nie ma dla mnie spoczynku? nigdzie ciszy? — myślał, jadąc lasem i puszczałając cugle koniowi — zaledwie jedno zamknęły się rany, już drugim sobie otworzył! szalony! nigdyż nie zestarzeję, nie ochłone. nie skończę tej walki z sercem własnem, które na oślep się rzuca na każde światelko, jak óma przeznaczona na spalenie? Nie! nie! widzieć jej nie chcę, zamknę się znowu, przeboleję, zapomnę. pozostanie pocziwa gorąca przyjaźń i nic więcej!

Mówił te słowa żywo, namiętnie i podniósł machinalnie głowę, jakby wyrzekał uroczystą przysięgę: gdy w tem widok jakiś niespodziany, dziwny, wyrwał mu z piersi wykrzyk, a ręka wstrzymała konia.

Znajdował się właśnie w pośrodku lasów należących do Starego, na uroczysku zwanem Ładowym gajem, po



uad którem przebiegała mało uczęszczana drożyną, wiodąca do Zalesia.

Ladowy gaj leżał na wyniosłym wzgórzu i składał się z rzadko rozsianych po zielonej murawie odwiecznych dębów, u stóp których nie rosło, tylko jak w parku angielskim szmaragdowa niska trawka. Na samem tego wzgórza wierzchołku był nsyp jakiś, jakby krągła wielka mogiła, z rodzaju tych, które u Awarów Ringe zwano, w pośrodku próżny i zakłesły, a tak obszerny, że się w nim kilkadziesiąt osób łatwo pomieścić mogło. Dołem po nad samą dróżką sączył się strumyk otoczony sitowiem i ubrany kwiatkami, kręto płatał się pomiędzy drzewy i niknął w oddaleniu wśród gliniastych obrywów.

Miejsce było bardzo piękne i coś poważnie smutnego otaczało tę tajemniczą, starą, milczącą już od wieków mogiłę. pracę ludzi, których kości od dawna ziemia pożarła: nie piękność jednak miejsca uderzyła tak bardzo Juljusza, ani widok tego nieodgadnionego usypu, ale postać, która w zamysleniu dziwnem stała u mogiły. Był to starzec z siwą brodą spływającą na piersi, tak pięknych i wyrazistych rysów twarzy, tak, można rzec, natchnionej postaci, że u stóp grobowca zdawał się z niego wychodzić jak nie ziemskie zjawisko. Sparty na białym kiju zagiętym, poglądał pod nogi swoje oczyma smutnie w ziemię wlepionemi, i ani postrzegł ani posłyszał przybycia Juljusza.

W chwili gdy podróżny nasz pół głosem wykrzyknął zdziwiony, wpatrując się w starca, najróżniejsze w rysach twarzy objawiające uczucia... wieśniak, gdyż ubior miał kmiecy, zoczywszy go nareszcie, wpatrzywszy się w Juljusza chwilę, szybko chciał usunąć się za mogiłę, ale



jakby się rozmyślił zaraz, przystał i śmiało zmierzył okiem stojącego w miejscu młodego człowieka.

Oczy ich spotkały się, a Juljusz nie pewien, to otwierał usta chcąc coś przemówić, to je milczące przy- mykał. Widać było, że się wahał, że poznawał i nie był pewien, że go nie zdradzają oczy, że chciał powitać i nie śmiał... Starzec wciąż obojętnie przypatrywał się jeźdźcowi, który stał w miejscu.

Nareszcie po długiej chwili Juljusz zeskoczył z konia i szybko przybliżał się ku dziwnemu dla siebie zjawisku, o kilka kroków jeszcze raz stanął. wlepił wzrok wyte- żony i zawołał:

— Ale to ty! to ty jesteś! nie mogę cię nie poznać, choć zaprawdę, z tą brodą, w tym stroju, w tej stronie kto innyby się omylił. ale nie ja! — I rzucił się ku starcowi.

On stał jeszcze nieruchomy, tylko uśmiech jakiś przebiegł mu po ustach.

Juljusz się zastanowił.

— Miałoby mnie tak nadzwyczajne uwodzić podobieństwo? jest-li dwóch ludzi tak dziwnie bliźnięco do siebie podobnych? Nie! nie! ja się nie mylę.

Postąpił jeszcze. a w tem starzec przemówił łagodnie, zdejmując czapkę i kłaniając mu się do kolan z pewnym rodzajem dobrodusznej ironji.

— Tak, jasny panie, to ja! nie mylisz się!

— Cóż to za dzień nadzwyczajności! — zawołał Juljusz — co to za komedja? powiedz mi, patrzę i oczom nie wierzę... Ty... tutaj, w tym stroju, wytłumacz-że mi proszę tę zagadkę. ale naprzód uściśnijmy się po staremu.

To mówiąc, przyskoczył gorąco i ucałował starego,

który przejęty jakimś uczuciem, silnie go objął w milczeniu, i gdy ręce opadły, łza mu w oku zabłyśła.

— Na Boga! nie jesteś-li w niebezpieczeństwie jakimś? Kryjesz się i uciekasz? mów? co to jest, szczęściem mogę ci być pomocą.

Hryć Soroka, gdyż to on był, znowu ironicznie się tylko uśmiechnął.

— E! mój panie Julianie — rzekł rubasznie — nie szukajcie darmo po głowie dziwolągów; ani się kryję, anim przebrany, a jeśli grozi komu niebezpieczeństwo, to pewnie nie mnie.

Słów tych nie uważał Juljusz. który począł nalegać gorąco:

— Na Boga, mój zacny i pocziwy nauczycielu, wytłumacz-że mi, co się z tobą stało? i co to znaczy?

— Zdaje mi się — odrzekł smutnie Soroka — że gdybym ci się jak najszczerzej wytłumaczył, nie bardzobyś mnie zrozumiał.

Juljusz zamilkł.

— Ale ta suknia — rzekł po chwili — ta broda, to oddalenie z miejsca, w którym zdawałeś się osiadłym na zawsze.

— Mój kochany panie Julianie — odparł starzec — nigdy człek nie wie, co los z nim zrobi. na zawsze spoczniemy tylko w grobie... a na ziemi nie ma: zawsze...

— Cóż tu robisz? — spytał znowu coraz silniej zajęty młodzieniec. — Jako? mnie nie chciałbyś powiedzieć, zwierzyć się? mnie nawet?

Stary uśmiechnął się trochę weselej.

— Lubilem cię bardzo, mój kochany uczniu — rzekł powolnie — byłeś u mnie Benjaminkiem, nie zgubiłem cię z oczu nawet, gdyś się w świat puścił, bom przy-

wiązał się do ciebie; ale nie łudziłem się nigdy, zawszem widział w tobie nieszczęśliwego wrażliwego chłopaka, co w zapale gotów był życie dać dla człowieka. dla ludzkości, dla myśli szlachetnej, i jutro toż samo życie postawić na kartę dla igraszki, dla zabawki, dla roztargnienia, dla pięknych oczek, w których błysło trochę życia i nadziei. Jak-że chcesz, bym tak płochemu. choć najpoczciwszemu, zwierzał się z tego, co może jest tajemnicą życia mego!

— Na Boga! ale kiedyżem zaufanie zdradził? — zawołał Juljusz.

— Poczekajno, poczekaj, nie rozpalaj się i nie krzycz, widzę, że tu nie miejsce do rozmowy, pójdźmy na ustroń trochę.

To mówiąc, ruszył się Hryć z pagórka, a Juljusz wiodąc konia za sobą, postąpił za nim milezający, lecz jeszcze pod wpływem podziwienia i rozdrażnionej ciekawości; szli, a oczy młodzieńca nie opuściły na chwilę tajemniczej postaci, którą miał przed sobą, jakby ją wzrokiem chciał przeszłyć do głębi i odgadnąć.

Spuściwszy się ze wzgórza, przeszedłszy strumyk i okrążywszy część wyniosłości, na której rósł Ładowy gaj, znaleźli się w parowie zarosłym krzewami z góry i tak gałęzmi ich zasklepionym, że promień słońca nigdy się tu nie mógł przecisnąć. Z pod jednej ściany obrywu, z dębowego ocenbrowania, sączyło się źródółko. z którego powstawał strumień. Gliniaste wysokie i strome boki parowu osłaniały ze trzech stron tę ustroń, w której głębi ciemność była zupełna. Szeroki kamień leżał nieopodal od wnijscia, na nim zasiedli przybyli, i Juljusz chwycił starca za rękę niespokojnie, z bolesnym wyrzutem w twarzą.

— A! ciężkoś mnie dotknął, mój drogi nauczycielu— rzekł — wiem ja tak płochy, tak nieroztropny, że mi nawet nie śmiesz powiedzieć nic o sobie. wiedząc, jak cię kocham? Mógłbym cię zdradzić? powiedz!

Hryć sparł się na swojej łasce, odwrócił twarz ku towarzyszowi i odpowiedział powolnie:

— Wiele to lat jakieśmy się nie widzieli?

— Nie wiem, blisko podobno dziesiątka! — odparł Juljusz.

— Dziesięć się skończy teraz — rzekł Hryć Soroka — a wiele też razy od tej pory kochałeś się Juljuszu, byłeś szczęśliwy i nieszczęśliwy; zrozpaczony i pełen nadziei, wiele razy traciłeś majątek i wygrywałś go znowu? wiele razy zmieniałeś sposób życia i z pustelnika przeobrażałeś się na miejskiego wytwornisia.

Juljusz się zaczerwienił.

— Nie wiem wiele to razy w przeciągu tych lat dziesięcin spotkać mnie mogło, ale to pewna — rzekł z zapalem szlachetnym — żem ani razu nie zdradził nikogo!

— Jako? nawet kochanki?

— Zdradzono mnie, ale ja niewinny.

— Tyś na to przeznaczony — smutnie powoli odpowiedział stary — prawda! prawda! mój biedny męczenniku namiętności! No! daruj-że wymówkę, która być mogła gorzką, ale doprawdy gdybyś się żalił, żem ci płochość zarzucił, nie miałbyś do tego prawa!

Juljusz zamilkł.

— Powiedz-że mi na przykład — ciągnął dalej Hryć — ledwie tu przybywszy, jakże było można świeżo przeboławszy tyle...

— Ale zkądże ty to wiesz?

— Ja wiem wszystko — uśmiechnął się stary — i temu się nie dziwnij, bo to tak zawsze bywało. Jakże można, byś świeżo przebolawszy, przybywszy tu z rozpaczą nieuleczoną, boś tak ją nazywał, z zamiarem zmiany życia i osamotnienia, jak można, byś tak prędko znown, ledwie zastudziwszy serce z jednego uczucia, rozgorzał zaraz drugim?

Juljusz powstał. — Ale mój kochany tatku, pozwól się po dawnemu nazywać, zkaż-że ta wszechwiedza — rzekł pokrywając żartem wrażenie — wiesz jak tu przybyłem, i wiesz już nawet co myślę w tej chwili?

— Wszak tak zawsze bywało — odpowiedział stary — przypomnij sobie, niceście przedemną ukryć nie mogli; cóż dziwnego, że i teraz po kroku, jaki uczynisz, dopytuje się uczucia, które za niem idzie nieuchronnie?

— Zkażde wiesz kroki?

— Bo na nie patrzę...

— Chcesz więc, bym oszalał... ja tego nie rozumiem.

— Może kiedyś wszystko ci się jaśniej wytłumaczy — powolnie mówił Hryć wstając — teraz czas się nam rozejść...

— I porzucisz mnie tak?

— Nie na długo, zobaczymy się...

Juljusz odchodzić nie chciał. stał wryty. w tem jakby na jego szczęście silny grzmot dał się słyszeć; błysnęło szeroko, grom rozległ się po lesie i górach, wicher zaszumiał i ogromne deszczu krople spadać zaczęły na głowy z między rzadszych w wnijścia gałęzi.

— Burza! burza straszna! — potrząsając głową rzekł Hryć — a ja zapomniawszy o niej, wstrzymałem cię za długo i do wsi do karczmy daleko, nie wiedzieć dokąd się schronić.

Stanął i podumał chwilę.

— Musimy się wstrzymać — odezwał się po namyśle stary wieśniak — burza będzie straszna i długa, do wsi mila, karczmy żadnej, jechaćby ci było niebezpiecznie i przykro. Może wreszcie znajdzie przyporządko!

To mówiąc zawrócił się nazad w wóz ciemny.

— Jeśli w tym parowie — rzekł Juljusz — to na taką burzę wszystko jedno co pod gołym niebem...

— Znajdziemy coś lepszego — tajemniczo szepnął stary — tylko panie Juljanie, zapomnij proszę, żeś tam był dokąd cię prowadzę; jest to skrytka na wypadek wojny, nieszczęścia jakiego. wydawać się jej nie godzi, kto wie, pod te czasy bardzo przydać się może...

— Znowu posądzacie mnie!

— Już cię nie, kiedy ci ją odkrywam. Za mną, za mną, a żywo! burza się zbliża, niezadługo las zadrży i drzewa polecą nam na głowy! nciekajmy.

Posunęli się, uwiązawszy wprzód konia u wnijsia, w głąb jaru ciemnego, który na trzy czy cztery rozdzielał się gałęzie: Hryć po namyśle skierował się w prawo i stanęli przed ścianą gliniastą, zakończającą nagle rozpadlinę. Tu niewielka bryła ziemi porośła trawami, mchem i drobnemi krzewami, pchnięta silną dłońią starca, odtoczyła się nieco i za nią pokazał się czarny otwór.

— Schyl się i wchodź za mną — rzekł stary zręcznie wsuwając się przodem.

Szeroko znów rozświecająca świat błyskawica wskazała wyraźniej paszczę pieczary, do której za swym przewodnikiem wszedł Juljusz. Stary schwycił go za rękę, bo z razu nie rozeznąć nie mógł i ciemno mu było jak w grobie, oczy jego olśnione ośwoić się nawet nie

mogły z przepascistą nocą tego dziwnego podziemia, w którym powietrze chłodne i orzeźwiające zdawało się dowodzić, że się daleko rozciągało. Czuć było nawet jakby lekki przewiew, po którym pomiarkował Juljusz, że gdzieś dalej inne wejście lub otwory być muszą.

— Stój-że teraz w miejscu — rzekł Hryć puszczając jego rękę — a ja się o światło postaram. — To mówiąc postąpił kilka kroków i po nie długiem oczekiwaniu zapalił grubą, nieforemnie zlepioną świecę woskową.

Zewnątrz rozlegający się łoskot nadchodzącej burzy, która drzewa wywracała z korzeniami, bijących jeden po drugim piorunów, szum ulewnego strumienia spadającego deszczu, nagle przejście w ciemność, doznane dnia tego uczucia, przyłożyły się do wywarcia na Juljuszu mocnego wrażenia widokiem pieczary, którą przy słabym blasku zażegnionej świecy ciekawie oglądał. Światelko powolnie rozlewające się, ukazało mu wyżłobione ręką ludzką podziemie, którego sklepienie nieforemne spierało się tu i ówdzie na zostawionych ogromnych ciężkich z gliny słupach. W ścianach oczerniałych od dymu, widać było porobione wgłębienia, a pod nimi wciąż idące przyźby szerokie, służyły zapewne za siedzenia i miejsca spoczynku. Pod nogami walały się węgle zagaśniętych ognisk i kości. Juljusz z przerażeniem postrzegł u stóp swoich niedogorzałą czaszkę ludzką. Powiódł wzrokiem milczący, chcąc zbadać głębię podziemia i nie dopatrzył końca: pieczara zniżając się i zakręcając w różnych kierunkach, ciągnęła się daleko w górę, na której stał Ładowy gaj. Gdzieniegdzie z pękniętego jej stropu zwieszały się blade korzonki drzew, które przebiwszy go cienkimi niemi wyciągnionemi w próżnię, zdawały się szukać uciekającej im ziemi.



Juljusz nie mógł się napatrzyć nowego dla siebie i zajmującego widoku, stary Hryć stał przed nim i patrzył w twarz jego badając wrażenia, jakie na nim to dziwne schronienie, wysłane kośćmi ludzkimi, uczyni.

Młody człowiek chciał się posunąć dalej, ale go towarzyszy wstrzymał.

— Zostańmy tu — rzekł — nie ma tam nic do widzenia, siadaj na tej ławie gliniastej i spocznij; puszczać się dalej i niepotrzebna i niebezpieczna.

— A dalekoż ciągnie się ta pieczara? — spytał Juljusz gdy stary zasłaniając światło od przewiewu, przytwierdzał je do jednego z bliższych słupów.

— Nie wiem — odparł Hryć — końca jej nikt nie doszedł.

— Szkoda! to ciekawa starożytność, możeby się co w niej odkryło.

Ta uwaga widocznie zniecierpliwiła starego, który brew zmarszczył i posępniej odpowiedział:

— Cóż się tu znaleźć może, nagie ściany, kości trochę i popiołu, ja byłem daleko w głębi, toż samo co tutaj, tylko niedoperzów więcej.

— Ale muszą być jakieś podania o tej jaskini? coś znaczą te kości? — badał Juljusz, cały zaprzętniony nowem odkryciem, rozglądając się — to widocznie są czaszki ludzkie.

Starzec zamilkł, i zdawał się przysłuchiwać burzy, która wrzała coraz się jeszcze powiększając nad ich głowami; chwilami z wstrząśnionej ziemi sklepienia sypały się na nich drobne obłamy, koń Juljusza rżał niespokojny u wnijscia.

Po chwili z westchnieniem usiadł Hryć przy młodym człowieku i kładnąc mu rękę na kolanach, zapytał:



— Julku mój, nie słuchajmy tej burzy, korzystajmy z chwili, powiedz mi swoją historję i poskarż na to, coś wycierpiał, znajdziesz i dziś może pod tą sukmaną serce co ci z dobrą radą pospieszy.

— Ale naprzód, stary mój nauczycielu. wytłumacz mi siebie!

— Dziwnieś ciekawy!

— Daruj, ale któżby nim nie był.

— Tymczasem to bardzo prosta historia — dodał smutniej Soroka — chciałeś jej, słuchaj więc, ale bądź cierpliwy, bo żebym ci mógł wytłumaczyć sukmanę, którą na mnie dziś widzisz, wiele wprzód rzeczy powiedzieć muszę, nawet takich, które nie rad mówię. Uzbrój się w cierpliwość, kochany Julku i daj mi słowo, że to co powiem, nie powtórzy się nigdy i nikomu.

Juljusz wyciągnął rękę do starca.

— O tem i wspominać nie potrzeba — rzekł uroczysto — możecie mi powierzyć co chcecie, umrze to ze mną pewnie.

— Niech z tobą żyje, to większa sztuka — dodał Soroka — a teraz słuchaj spowiedzi, którą sam wyzwałeś.

---

— Trzeba żebyś wiedział naprzód, że twój stary nauczyciel, ów Grzegorz Soroka, co śmiał kareć dzieci szlacheckie i nie raz krnąbrnego panieza za ucho pociągnął, jest, był i będzie prostym kmiotkiem.

Juljusz spojrział wielkimi oczyma, a starzec z lekka się uśmiechnął jego podziwieniu.

— Zdziwi cię to może, żem szlachcica udawał i nie chwalił się pochodzeniem swoim, mileząc o mojej prze-

szłości... ale dziwić nie powinno. Żle znacie przeszłość naszą. jeśli podobne uszlachcenie wieśniaka zdumiewać was może. Przykładów jego tysiące macie w dawnych dziejach waszych: dopiero w ostatnich nieszczęśliwych czasach. a szczególnie w krajach przez Polskę na Rusi podbitych i przyswojonych, żywioł szlachecki z powodu różnic narodowości, wyrobił się na zupełnie odrębny i oddzielił całkiem od ludu pospolitego. Dawniej zasłużonych knieciów panowie do herbów nawet przyjmowali, a Batory poczeiwej swej wieśniaczej piechoty pod Pskowem i Połockiem wyszlachcił nie mało. Jeszcze w odleglejszych wiekach Polski, knieć nie był wcale poniżony ani spodlony. jak w najbliższych nas czasach wyjątkowo bywał: bo ogólnie rzeczy biorąc, nigdzie u nas nie było ucisku, nigdzie takiej niewoli jak na Zachodzie. choć Zachód nie pojmując instytncyj naszych, wiecznie nam je wyrzucał. Uwierzyliśmy obcym i o tym ucisku, papugi powtarzaliśmy za nimi!

Jak tajemnie sączące się strumyki wielką podsycają rzekę, tak lud niewidocznie wyborem swym zasilał szlachtę. Wiedzieli nieraz panowie o uszlachcającym się chłopie i milczeli, bo czuli, choć sobie z tego może sprawy nie zdawali, że szlachectwo głównie się zasadza na poświęceniu dla kraju, a kto w jakikolwiek sposób poświęca się dla niego, już przez ten czyn sam zostaje szlachcicem. Dla tego wszelaki talent, zasługa wojenna, dawały zawsze szlachectwo, i ile krwawych pól w waszych tarczach. tyle szlachty, co się dobiła poświęceniem miejsca dla potomków swoich, uprzywilejowanego wspomnieniem. Teraz może kupuje się w niektórych krajach szlachectwo i tytuły, dają to za pieniądze, co się krwią tylko zdobyć mogło, ale też to wiek wcale nie szlachecki,

pojęcie nawet szlachectwa zostało sfałszowane lub zniesione.

Widziałeś mnie w sukni waszej, na równi stojącego z wami... alem ja i wówczas w sercu był kmieciem, choć dla próżnej młodzieńczej żądzы wyniesienia się, oświecenia i nieokreślonych jakich nadziei. wyrwałem się z tego stanu. Jak? to ci zaraz opowiem.

Trzeba być wiedział. że panowie Starego nie byli innym podobni... wieś to może w kraju jedyna. w której lud z panem starą jeszcze słowiańską jednotę stanowił, w której patryarchalny związek ten nie nadwreżyło na chwilę, my i panowie nasi nie staliśmy nigdy w przeciwnieństwie i w walce jak gdzie indziej poddani i dziedzice, aleśmy trwali z pokoleń w pokolenia w miłości, zgodzie i połączeniu.

Nie ma w tem nic dziwnego wcale. tak w dawnych wiekach było wszędzie. Źle sobie wyobrażają zagorzalcy, dawny w Polsce rzeczy porządek i zasadzając się na wyjątkowych uciskach. na występkach. które są po dziś głośne. z nich stan włóścian przedwiekuisty chcą zrozumieć i odtworzyć. Ani owe wyjątki, ani to co nam w prawach pozostało, nie objaśnia o stosunkach panów i kmieci... prawo nie urządzało tej zawisłości ale zwyczaj, był to żywy rzeczy porządek zasadzający się na tradycji. i dziś dla badaczów co wszystkiego szukają w papierze nieodgadnione.

Było wcale co innego... była społeczność w sobie właściwy sposób urządzona, związana miłością. wymiarem słusznym pracy i stopniowaniem koniecznem wszędzie. a nikogo nie poniżającym. Pan był ojcem swej włóści, a on i ludzie jego stanowili zupełną jedność... była to więcej może niż społeczność związana interesem

materjalnym, była to przysposobiona rodzina, był to węzeł patryarchalny. Nie mówię o wyjątkach, bo gdzież ich nie ma? to źle tylko, że później historia całkiem się na nich oparła, zabywszy co umarło w ciszy, to jest normalnego bytu.

W ogóle przywiązanie człowieka naszego stanu do ziemi było całkiem dobrowolne, jak tego nazwanie wielu osad po dziś dzień jeszcze dowodzi; zależność jego od dziedzica raczej dobrodziejstwem mogła się zwać niż przymusem. Ale też panowie inaczej pojmowali swe obowiązki i duch jeden, duch chrześcijańskiej miłości ożywiał wszystkich. Dwór stał na czele wioski, był jej rzędem, jej sędzią, ale zarazem jej opiekunem, spichlerzem, podskarbnym, obrońcą, przedstawicielem. Dopiero później, gdy szlachta się zepsuła pod wpływem zachodniej cudzoziemszczyzny i straciła uczucie obowiązków chrześcijańskich z utratą ducha wiary, pan mógł się stać niesprawiedliwym względem swej gromadki.

W dawnych czasach, w tych o których wiedzą najlepiej podania nasze, w słowiańskim bycie patryarchalnym, w pierwszych wiekach gorliwego chrześcijaństwa, nie było przykładu nadużyć władzy i gwałtu. Owszem społeczność owa była czemś idealnie doskonałym: szlachcie kierował mniej więcej rozległą gminą ludu, której był raczej ojcem z ducha niż panem z materji; w miarę wielkości swych obowiązków usposabiał się całym życiem do ich spełnienia, czuwał nad bytem powierzonej mu gromadki, puszczał z niej w świat i inne życie tych, co się do niego zrodzili, zostawiał przy roli takich, co tę pracę kochali i do innej nie mieli serca lub zdolności: żywił, karmił, bronił, a na chwilę z oka nie spuszczał.

Niech sobie nowi mistrze nauki społecznej, ci co z gruntu chcą świat przerobić według formy przez siebie wymarzonej, szukają lepszego wzoru społeczności nad ową słowiańską, ja go nigdzie nie widzę... i dopóki trwa w niej duch ożywiający, duch podań, duch wiary, co chrztem nowym starą Słowiańszczyznę obmyła, przyjmując się na tej bujnej roli z siłą cudowną... o! nigdzie może nie było lepiej.

Szlachcic tem się tylko odznaczał od reszty, że większe i cięższe miał obowiązki... nie żył on w zbytku, przestawał na małym, bronił kraju krwią, odpowiadał zań głową, radził i rządził, ale za wszystkich cierpieć i poświęcać się musiał. W miarę tego poświęcenia społeczność wydzielala mu cześć, mienie i znaczenie. Lud stojący pozornie na najniższym szczeblu hierarchji towarzyskiej, był w istocie najszcześliwszy. Pracował on dla wszystkich na chleb powszedni, ale go bronili wszyscy, i otaczali uzbrojoną piersią zaszczycając od wszelkiej napaści. Zresztą dziwuj się jeśli chcesz Juljuszu, ja ci dziś jeszcze powtórzę, że szczęśliwszego nie ma nad stan wieśniaczy na naszej pięknej, bujnej ziemi...

— To prawda, kochany nauczycielu — odparł z uśmiechem młody człowiek, dotychczas wcale przeciwnie mówiono i pisano...

— Być bardzo może, i nie dziw. Wreszcie w Europie inaczej było niż w Słowiańszczyźnie, a żeśmy wielkie mały, z pozwoleniem pańskim, gdy tam poczęto uważać się na ucisk włościan, musieliśmy i my to echem powtórzyć u siebie. Tymczasem u nas nigdy nie było takiej nędzy, takiego upodlenia jak gdzieindziej. Nie trzeba po dowody iść daleko... u nas i teraz jeszcze włościanin idzie do pana codziennie swobodny w każdej

ważniejszej okoliczności, z weselem, ze smutkiem, ze świętem, przyjmują go jak brata, witają dłonią i sercem, dzielają strapienia i zabawę... Po wioskach naszych nie znane były nigdy wielkie klęski głodu, niedostatku, dopóki pan mógł im zaradzać; szpichlerz zawsze stał otworem, worek otworem dla wieśniaka; wreszcie nędza jego, o której tyle piszą obcy podróżni, ntyskując nad lichą odzieżą, nad zapadłym mieszkaniem wieśniaka, cała po większej części jest powierzchowna.

W grubej chodzący świcie kmieć nasz, nie pomieniałby się na cienkie suknie i cienki chleb angielskiego lub francuskiego proletariusza; łachman tenby go nie ogrzał, a strawa nie nakarmiła. Potrzeba znać kraj i warunki życia w nim, żeby się przekonać, iż w istocie wszystko aż do chaty chłopca, która jakkolwiek licha, miła mu jest bo pradiadowska, wszystko zastosowane do potrzeby lub wynikłe z konieczności. Że u nas na przykład co do odzieży wieśniak daleko wygodniej, przyzwyczaj, lepiej jest odziany, niż francuski i angielski proletarij, tego dowodzić nawet nie potrzeba. Tamci wyrobnicy i wieśniacy kupują swoje suknie po miastach, stare i śmieszne, my z własnego sukna, odwieczną, poważną, ciepłą i dostatnią pradiadowską mamy świętę. Zdaje mi się też, że poddasza nędzne Londynu i Paryża, nędzne kletki irlandzkie, nie są wygodniejsze i zdrowsze od chat naszych. A jednak każdy przejeżdżający cudzoziemiec ma sobie za obowiązek na widok czarnej chałupy wieśniaka, jego prostej siermięgi i razowego chleba, krzyżeć na północne barbarzyństwo!!

My zaś, jak skoro powie co wyrocznia nasza na Zachodzie, pokornie spuszcza my głowę.

Niech cię to nie dziwi, że sam wieśniak, nie idę śla-

dem innych i nie wyrzekam na byt nasz; widzisz pan we mnie człowieka tak przywiązanego do swojego stanu, tak go ceniącego. jak kto inny szlachectwo. Czemuż nie mam być dumny z moich dziadów co karmili, gdy wy się pysznicie swojemi, którzy kraj zasłaniali? Ręczę że-  
bym się nie pomieniał na żaden stan inny. na żadne pozornie lepsze położenie.

Tak dziś, ale w młodości, choć napojonemu wcześniej przekonaniem, że nie ma na świecie bytu nad wieśnią-  
czy, zaświtała w głowie chętką czegoś innego. pragnęło się świat zobaczyć, uczyć się. spróbować innego życia. Miałem jeszcze naówczas ojca, który postrzegłszy tę żylkę we mnie, a był to człowiek wielkiego na stan swój rozumu, karmił za nią nieustannie... może to wła-  
śnie przyłożyło się do rozwinienia jej we mnie.

Po śmierci ojca pozostało nas trzech braci i siostra; w chacie ludno było aż do zbytku, nie wytrzymałem i uciekłem z wioski. Ani mi się wówczas zatęskniło za swemi, za tą ziemią, do której teraz tak wielkie czuję przywiązanie. ani się ku niej odwróciłem, ani po niej zapłakałem... leciałem do miasta i szczęśliwie mi się udało dostać do niego bez żadnej przygody.

Tu dopiero postrzegłem, jaka była różnica między wioską i wieśniakiem, a miastem i jego mieszkańcami; wszedłem jak w las w ten tłum ludzi, gdzie każdy o sobie tylko myślał i o sobie się lękał. Nikt mnie nie spytał czy czego nie potrzebuję, nikt ręki nie podał; pierwsze dni z kilką groszami w kieszeni włóczyłem się nie mogąc nasycić oczów, nie śpiąc, nie jedząc, a patrząc i słuchając. Ale się przebrało siły i zapasu, trzeba było coś począć z sobą. postarać się o dach, przytułek, pracę i chleb.



Począłem zbliżać się do ludzi, a jedni zbywali mnie śmiechem, drudzy żdziwieniem niedowierzliwem, inni obojętnością zupełną. Nie zrażony niepowodzeniem, śmiały jak wieśniak. parłem się wszędzie, szukałem szkoły, bo chciałem się uczyć i znalazłem ją. Tu naturalnie, sromotnie wygnany zostałem i poznałem, że co innego chłop na wsi, co innego chłop w mieście. Mieszczanin stokroć dumniejszy jest od szlachcica. Wszysey jak oparzeni uciekali odemnie, a gdy powiedziałem że się chcę uczyć, odskoczyli ze śmiechem. Nareszcie włączając się tak daremnie po Lwowie. dostałem się do urzędu miejskiego, który mnie odesłał na wieś pod strażą, jak zbiega.

Ojciec jeszcze nieboszczyka pana Joachima rządził naówczas w Starem... był to człowiek zacny, łagodny, prawdziwy ojciec dla poddanych. Gdy mnie z tej włości przyprowadzono i stawiono przed nim, popatrzył, zmarszczył się bardzo pamiętam i rzekł z głębokiem wzruszeniem :

— Dobrze ci tak chłopcze ! dobrze ! A po co było uciekać ? Zacheiało ci się w świat, czemużeś nie przyszedł do mnie, ze mną się o tem nie poradził i mnie nie poprosił ? Widzisz coś zarobił.

Odpowiedziałem mu z płaczem, że się chciałem uczyć.

— Trzebaż ci było mieć ufność we mnie, — rzekł łagodniej, — byłbym na to dał jakąś radę ; któż widział uciekać jak z niewoli, alboż to już wam tak źle u mnie, żebyście bez mojej wiedzy opuszczali swego pana ?

Ja i bracia przeprosiliśmy go jakoś, i nie przyszło to nam trudno, bo serce jego widząc com wycierpiał, od razu mi darowało winę nieufności. Stary pan zamyslił się i odesłał mnie nazad do chaty, zapowiadając, że przyszele później i ułatwi mi te naukę której tak pragnę.



Tymczasem bracia starali mi się wybić z głowy dziwne zachcenie, w Starem raz pierwszy się zdarzające, bo tu przywiązanie do naszego stanu więcej niż gdzieindziej wyrobił dobry byt i tradycja przeszłości.

— Jakiej przeszłości? — zapytał ciekawie Juljusz.

— Może się kiedy i o tem dowiesz, — odpowiedział Soroka, — dość że i my mamy swą przeszłość i dzieje które pomnim, z których jesteśmy dumni. Przywiązanie też do swojej ziemi, do swej siedziby, do tego kąta pradziadów, wyrobiło się w nas potężniejsze niż gdzieindziej. Uczułem i ja zamięłowanie w tem życiu, ciszy, pracy, śpiewów, podać i wpatrywania się w twarz pięknej ziemi matki, w dzieło Boże... ale pomimo to, została mi w głębi tęsknota za urojeniem. W życiu tak zawsze: nie postrzeże się człowiek, jak w duszę padnie mu drobne żądzy nasionko, jak wyrośnie i obejmie mu piersi i skuje go sobie na hołdownika. I we mnie tak pragnienie czegoś nowego... nauki, świata, zagnieździło się niepojętym sposobem na wieczny niepokój.

— Żałujesz więc kochany nauczycielu, żeś się oświecił, udoskonalił i podniósł?

— Długo by to było o tem mówić, — rzekł stary zamilknąwszy chwilę, — ale doprawdy i wieśniak nie jest bez wiedzy pewnej, bez pojęcia świata, bez rozgarnienia, tylko źródło wiedzy jego jest wcale różne od waszego.

Ja coś dziś umiem, bywałem po świecie, widziałem ludzi, znam ich uczoność, wróciłem teraz na wieś i usiadłem wśród swoich. Patrzę i widzę, że nie są oni tak ciemni jak wy sobie wyobrażacie. Nie ma tu nauki co wszystko rozbiera, układa do jakiegoś wymyślnego porządku, numeruje i dziwnie przeżywa, a ostatecznie rozpatrzywszy się w tem co zrobiła, wyrokuje że istoty

rzeczy nie zna; nie ma nauki która *wie* o wszystkim a *nie rozumie* niczego; ale natomiast z podań odwiecznych doszła nas wiedza tajemnic niedostępnych uczonym i pojęcie świata takie, jakim Bóg opromienił czoła pierwszych ojców rodzaju ludzkiego.

Starzec widocznie zdawał się jakby natchnionym; Juljusz słuchał go z zajęciem, tak pilnie, że ruszyć się nie śmiał by słowa nie stracił... Hryć mówił mu dalej.

— Porównajcie tylko lud miejski, otoczony brukiem, kamieniami i błotem, żyjący wśród kałuży, z ludem wiojski, co pracuje pod gołym niebem, patrzy nieustannie na twarz ziemi i odgaduje dzieło Boże... przekonacie się, że on więcej umie i lepiej daleko zna świat od rzemieślnika i mieszczanina. Mądrość kmiecia płynie wprost z ziemi matki, ssie on ją z jej piersi wiecznie pełnej, wyciąga z podań nieprzerwanych i ciągłego wpatrywania się w to, co go otacza. Wieśniak niczem się nie zdziwi, bo przywykł do nieustannych cudów, bo żyje otoczony niemi. każde zjawisko wiąże z czemś słyszanem u kolebki, a choć nie wytłumaczy równie dobrze jak uczony, zrozumie je przecie po swojemu, patrząc nań nie suchem okiem badacza, ale sercem dziecka Bożego.

Niemal wszelkiej nauki nasionko pierwotne wyrosło z doświadczeń wieśniaczych, skarbnica postrzeżeń tu się zbierała; pasterze i rolnicy policzyli pierwsi gwiazdy na niebie, szukali w ziołach lekarstwa, poznali zwierzę i rozkopali ziemię, dziś jeszcze nieraz poradzi się ich uczony i zdumieje niespodzianym tajemnicom, których z nśmiechem prostoty słowo wieśniaka mu odkrywa.

Nieraz dziwujecie się mimo dumy waszej rozsądkowi prostych ludzi... cała różnica tego nieoświeconego ludu, że on czerpie z ust do ust podawaną mądrość pierwotną,

którą lada zetknięcie ze światem waszym głuszy i gasi, a wy ją czerpicie z tego co zowiecie nauką, z dzieła własnego rozumem sklejonego, powoli, klejąc i rozklejając je co godzina. Mógłbym choć z pewną przesadą nazwać naszą naukę objawioną, a waszą zdobytą: obie opierają się na jednej posadzie, ale z niej często zbacza druga, zbyt ufna w siły swoje. Wiele jest rzeczy u was poczytywanych za bajki, które są tajemnicą naszą.

Tu jakby opamiętawszy się wstrzymał się nieco stary, i tak po chwili mówił dalej:

— Nie żał mi, żem się uczył, ale gdy dziś porówny-wam naukę waszą z wiejską, ostatecznie nie wiele widzę wypadków więcej nad te, które nam dały tradycje wiekowe. Jeżeli co, to uczucie religijne rozwinięte, podniecone we mnie jest wielką zdobyczą wyprawy... reszta na niewiele się przydała. Musiałem wróciwszy na wieś, stając się na nowo wieśniakiem, zapomnieć dużo, by się więcej jeszcze nauczyć.

— Ale jakżeście powrócili? — spytał Juljusz.

— O! daleko jeszcze do tego, muszę wam naprzód powiedzieć, jak wyszedłem, — odparł Hryć, — zawczasu uzbróście się w cierpliwość. W naszej wiosce więcej niż gdzieindziej podać, bo mniej się stykamy z tem, co by je zaćmić i zagłuszyć mogło, sięgają one niepamiętnych czasów, których nie zna historia; są nawet rodziny wybrane, gdzie z pokoleń w pokolenia przelewają się dzieje dawne i niejako kapłaństwo przeszłości. Pobyt tu czas jakiś po pierwszej mojej wycieczce, jużem był prawie zasmakował i zgodził się z przeznaczeniem, gdy jednego razu zawołano mnie do dworu. Znalazłem pana Stareńskiego, chodzącego z papierem w rękę po wielkiej sali, zobaczył mnie i zbliżył się z uśmiechem.

*Kłopotliwy Salomon*

— No, chłopcze. — rzekł. — teraz, kiedy chcesz, możesz się uczyć. wyrobiłem ci przyjęcie do szkół, daję uwolnienie i grosz na początek; idź w świat. a paniętaj użyć dobrze nanki, której pożądasz. Dziś umie może nie zrozumiesz, ale wraź to sobie dobrze w panięc, że nie ma szkodliwszego stworzenia nad niedouczzonego... wielkie w nim tylko podbudzone żądze, a nie ma środków, by je zaspokoić. Chcesz się uczyć, ucz się do ostatka, i nie rzucaj już drogi, którą pójdziesz. Daj ci Boże, byś sobie wypracował szczęście!

Ledwie sobie dziś te słowa przypomnieć mogę, tak wówczas byłem wzruszony i szczęśliwy... odezwała się we mnie żyłka do świata innego, otrzymywałem o czem ledwie śmiałem marzyć, byłem jak npojony, jak szalony, upadłem do nóg staremu, a on z jakimś rzewnym smutkiem mnie pobłogosławił.

— Nie zapominaj o Bogu, — rzekł na ostatku, — módl się i idź w imie Boże!

Nazajutrz po czułych, wiejskich pożegnaniach z rodziną, podwódka brata odwiozła mnie do Lwowa, gdzie już wszystko zastałem ułatwione do przyjęcia mnie i umieszczenia. Z zapalem rzuciłem się pracować i jakoś mi to poszło łatwo i dobrze. Przeszedłem szkoły i wkrótce mogąc sam się utrzymać dawaniem lekcji, dobrowolnie podziękowałem za pański zasiłek. Byłem trochę dumny, że sam mógł zapracować na chleba kawałek. Skończywszy szkoły, zapragnąłem wyższych nauk, bo mi się jeszcze paliła głowa: do tych łatwy teraz miałem przystęp. O pochodzeniu mojem nikt nie wiedział, wszyscy mnie mieli za ubogiego szlachetkę i na równi z innemi iść mogłem.

Zdało mi się, że się jeszcze do czegoś większego

dobiję pracą, ale gdym chwycił co było można, czytał się do niestrawności i głowę sobie nabił książkami. pokazało się, że z tego wszystkiego nic nowego stworzyć nie potrafię. Męczyłem się długo, by wyjść z tłum, dać się poznać, błysnąć, przemówić, a głos mój ginał w niezmiernej wrzawie donośniejszych i wymowniejszych. Nie rychło jednak straciłem nadzieję i odrzekłem się wielkiej przyszłości, którą sobie wymarzył... próbowałem, rzucałem się jeszcze długo i nadaremnie. Ludzie do zbytku sumienni a nie obdarzeni talentem zręcznego samochwalstwa, nigdy nie potrafią wybić się po nad tłum; a ogół choć zna siebie, to że mu prawie wszystko wmuwić można, daje się najłatwiej omamić gadułem i najmniej sumiennym krzykaczom. Nie miałem ktoby mnie zalecił, sam się zalecać nie potrafiłem i wkrótce trzeba się było rozbratać z nadziejami. Pożegnalem je bez rozpacz i wykreśliłem sobie życie nowe, stając się nauczycielem. Takim znałeś mnie Juljuszu, bom cię miał kłopot i szczęście liczyć do uczniów moich. — dodał stary z uśmiechem łagodnym, — aleś ani się mógł domyślać nigdy com w tem życiu wycierpiał i przeboleł.

— Z uczniami?

— Nie koniecznie, najwięcej z samym sobą. W młodości tak byłem zajęty, roztargniony, rozmarzony, że mi na pamięć wszystkiego co człowiekowi najdroższe, nie pozostało czasu... zapomniałem mojego kątka, rodziny, przeszłości, braci i pierwszego życia. Ochłonawszy później obejrzałem się do koła i dopiero postrzegłem jak smutnie byłem sam jeden. Nie chciałem oszukiwać wiążąc czyjkolwiek los z moim, a wiedziałem, że za mnie niktby córki ni siostry nie wydał.

Dziwnie też smutny, schorzały, wybladły wydał mi się już wówczas wasz świat, gdy go porównywać zaczął do wspomnień moich, do wioski. Żywe, głębokie, niepohamowane uczucie tęsknoty za moją chatą, za braćmi, za życiem co niegdyś mojem było, odezwało się w sercu nagle. Z tem uczuciem dręczącym mnie, opamięnującem, zaślaniającem wszystko, co otaczało, walczyłem, chodziłem i żyłem nieszczęśliwy lat kilkanaście. Wątpię by kto zrozumieć mógł i chciał uwierzyć com doznał!

Z dnia na dzień urok ten jakim mi błyskało wprzód miasto i jego wychowawcy, opadał i znikał, co chwila różnej czułem dojmującą tęsknotę, żal nieopisany i pragnienie powrotu do dawnej pracy, do dawnego stanu.

Nie ustraszało mnie ani jego ubóstwo, ani poddaństwo, ani trud rolniczy. Często kupowałem ukradkiem czarny chleba kawałek, zamykałem się z nim, spożywałem ze łzami, w myślach o tych, którzy na rodzinnym zagonie chlebem się tym karzili. W przechadzkach wieczornych za miasto z zazdrością nieopisaną spoglądałem na wieśniaków wesoło powracających z targu, i zatrzymywałem ich, żeby się ich prostą rozmową orzeźwić, ich prostymi myślami wyrosłemi na zagonie nasycić. Mury miasta otaczające mnie, dusiły jak więzienie, powietrze ulic zabijało, wzdychałem za wsią, za lasem, za śpiewem chłopiat, za głosem dzwonka mojego kościołka, za chatą bielejącą na pagórku i uliczką którą przebiegałem dziecięciem. Zamykałem się płakać i śnić o Starem, a choć walczyłem z sobą, by pokonać tę tęsknotę gwałtowną jak namietność, cała siła moja nie przeciwko niej nie mogła. Uczucie to stało się chorobą, gorączką, szalem. Stawałem czasem wśród rozmowy,

wśród wykładu nauki osłupiały, nieprzytomny, puszczając się myślą ku wsi naszej i tonąc w dziecinnych wspomnieniach, łza wytryskała mi z oczów, serce biło gwałtownie. i ludzie mogli mnie wziąć za szaleńca. Najmniejsza drobnostka budziła we mnie odpędzane napróżno maryl, powstawały z wyrzutem przeciwko mnie i zgryzotą ugniatały niepokonaną.

Widzieliście mnie smutnym nieraz, choć nic na pozór nie brakło mi w życiu, bo praca szła łatwo, chleb był dostatni, szacunek zyskałem u ludzi i ufność i przyjaźń nawet, ale ten żal za strzechą rodzinną wszystko mi goryczą tajemną zatruwał.

Nie było sposobu wyżyć w męczarniach codzien wzrastających. w tej gorączce. która groziła obłąkaniem; — czułem, że człowieka wiąże coś niepojętego z ziemią, z rodziną, z ludźmi z pośrodku których wyszedł. Poj-mowałem chorobę Szwajcarów płaczących na dźwięk pieśni pastuszej. i postanowiłem powrócić na wieś do swoich. do dawnego życia: nie patrzeć na nich z żało-żonemi rękami. ale z niemi i jak oni pracować.

Myśl ta powzięta już stanowczo, nie była jeszcze rozwinięta zupełnie, lenistwo i gnusność słały mi jeszcze niekiedy strachy. grożąc pracą i niedostatkiem: jeszcze się czasem zawahał... w tem dowiedziałem się o śmierci ostatniego brata, który zostawił po sobie wdowę i sierotę... Ta wiadomość uderzająca boleśnie. w jednej chwili ugruntowała mnie w myśli już powziętej powrotu na wieś... raz to sobie postanowiwszy szczęśliwy byłem zupełnie, jak student wracający do domu cieszyłem się dziecinnie. W przeciągu kilku dni sprzedałem com miał, zawiązałem odrobinę pamiątek i prawie bez żalu, bez łzy pożegnałem miasto, do którego nie mogłem się przywiązać.



Ale jakże ci opiszę powrót na wieś, przybycie do domu :

Tuhy potrzeba poety. a ja nim nigdy nie byłem, kiedym wyjechał w pola, odetchnął piersią całą, wciągnął to zdrowe powietrze ziemi naszej, którem wykarmiony byłem, kiedym spojrzął po uroczych dolinach, gajach, górach zielonych i wodach błyszczących. usłyszał głos wsi i woń wioski poczuł do koła, tak mi serce uderzyło, że się głowa zawracała ! Witalem każde źdźbło trawy, każdą przelatującą muchę, każdą ziemi bryłkę, każde drzewo nad drogą i rozkwitłe znajomemi barwami kwiaty. Nieustannie zeskakiwałem z wozu by szaleć odmłodzony, nasycać się, poić, a ludzie co tam na mnie patrzyli, musieli pewnie wziąć mnie za opętanego lub opoja.

Za zbliżeniem się do Starego, kiedym jak przez mgłę dotąd widziane we wspomnieniach tylko, ujrzał na jawie i rozpoznawać zaczął miejsca, do reszty rozum straciłem. Biegłem pędem by prędzej zobaczyć chatę naszą i stare zgliszcze u którego stoi na straży i grusze sadu i żóraw studni z której pocziwa matka nasza wodę dla swych dzieci czerpała. Poszedłem płacząc pomodlić się na świątyni kościółka, a wszystkich kogo spotykałem obejmowałem jak braci ; potem nieprzytomny prawie upadłem całując próg, który deptali pocziwi ojcowie moi, lży ścisnęły mi piersi, mrzły mi wzrok, plątały myśli. Znalazłem chatę naszą tak jak pustą ; została w niej tylko wdowa i dziecina. Wszystko co tu wymarło bezemnie, co bezemnie żyło, wymawiać mi się zdawało ucieczkę ; postanowiłem resztę życia poświęcić pracy dziadów na naszym zagonie, i spłacić dług ziemi ręką moją nietkniętej od młodości.



— Jakto? myślałbyś pozostać tu na zawsze — z zdziwieniem spytał Juljusz.

— Chcę i muszę, i zostanę, — szybko odpowiedział stary.

— I nie tęsknisz za miastem, za ludźmi?

— To pytanie ci przebaczam, bo nie znasz ani mnie, ani tych co teraz otaczają Sorokę... lud to najpoczeiwszy, najserdeczniejszy, i najmędrzy nawet dodam. choćbyś się z mego zapachu miał rozśmiać.

— Ale ta zależność? poddaństwo?

— Są to słowa cze kochany Juljuszu, z takimi jak nasi panowie, poddaństwo kończy się na miłości i opiece; zresztą czyż wszyscy w jakibądź sposób nie jesteśmy zależni?

Powróciwszy na wieś, — mówił Hryć dalej po krótkim namyśle, straciłem prędko co mnie tu odróżniać mogło od moich, przypomniałem sobie czem byłem w dzieciństwie, a to przywdzianie z nową suknią nowego życia, dało mi niejako powtórna młodość. Stałem się tu dobrowolnie dziecięciem i poczęłem uczyć wieśniactwa, jakem się go dawniej oduczał. A! nie wiesz, nie wiesz i nigdy zapewne wiedzieć nie będziesz co tu znalazłem za skarby, ile nowych dla mnie uczuć, ile myśli, ile pojęć i obrazów olśniły nieszczęśliwionego przybylec! Żadna księga nie przemawia jak żywe słowo podania, w żadnym stanie nie zachowały się one tak żywe, tak całe jak u nas. W Starem może więcej niż gdzieindziej cześć przeszłości jest rodzajem religji dla jego mieszkańców, a przez nią przeszłość staje się prawie teraźniejszością, tak ją uobecnia przywiązanie. Tu jestem u źródła dziejów i czerpię je nie z suchych kart gdzie mi klótnie o lata nieustannie obraz rozrzucają, ale z mogił, z ziemi, ze

starych pamiątek dziadowskich. z drgającej powieści, którą kmieć wieki powtarza, z pieśni, którą nawykł śpiewać, z języka, którym mówi...

Żyje z ojcami, widzę ich, słucham i idę na smętarz, by częściej jeszcze być z nimi.

Juljusz słuchał ze wzrastającym podziwieniem tej niezwykłej starca powieści, tak nią rozmarzony, tak widocznie ujęty, że i Hryć czując w nim sympatycznego słuchacza, coraz się głębiej od serca wynurzał.

Nareszcie umilkł i zasepiony wlepił oczy w ziemię, przysłuchując się burzy, która wrzała ciągle, i zwiększać się jeszcze zdawała co chwila. Ucichło, to znów z szalonym pędem wzrastał wichor, trząsał drzewa, bił o góry, szamotał się z powietrzem, które przed nim uciekało.

— Będziesz się śmiał ze starego — odezwał się znowu po chwili, ale dość już tej spowiedzi, dość podziwu dla ciebie. wiesz już przecie wszystko co się mnie tycze, a teraz z kolei uczniu mój, powiedz coś robił na świecie?

— Ja? na co pytać? wszak ty wiesz wszystko — ponuro i z ciężkiem westchnieniem odparł młody człowiek.

— Wiem. ale jak wiedzą ludzie, jak noszą wieści! Wieść tak bywa zawodna, z kolei ludzkiego życia tak łatwo każdemu tworzyć wedle upodobania! Biedneś ty dziecko, daj-że mi się choć użalić nad sobą.

— Dziękuję ci z serca za współczucie, o! i o te nawet mi trudno! — smutnie rzekł Juljusz.

— Ale od czasu jakeśmy się rozstali, powiedz, coś przecierpiał i przemarzył!

— Chcesz koniecznie — odezwał się przymuszając prawie młody człowiek — uczynię zadość woli twojej, ale to dzieje pospolite młodego serca; choć na nich

więcej ucierpiałem niż kto inny. Wiesz jakim wyszedłem na świat, wyobrażając sobie, że wszelkie uczucie jest głębokie i trwałe, że samo jego zjawienie się już mu nieśmiertelność rokować powinno. Marzyłem miłość wielką, gorącą, co by życie mi zabrała, i rozbiłem się o nią.

— Miłość — cicho szepnął starzec — jest to ów wielki djament, którego tysiące niewolników szuka na skwarze słonecznym, a ledwie jeden go znajdzie... dla owych tysiąca dość być powinno drobnych pyłków co pod nogami ich świecą w piasku.

— Tak! masz słuszność, ja błędzę, że koniecznie chciałem być tym jednym, a ten djament nie dla mnie! Znałeś położenie moje towarzyskie, było ono jednym z najszczeńliwszych, stanowisko moje społeczne dawało mi wstęp wszędzie, majątek stawiał na równi z bogatszymi, wychowanie odebrałem takie jak wszyscy. Wszedłem więc w świat śmiało, nadzieję niosąc na ramionach, z oczyma w niebie, ledwie stopą dotykając się ziemi. Na pierwszyni wstępie trafiłem na bóstwo!

— O mój Boże! jeszcze po tylu doświadczeniach gorzkich, nazywasz ją bóstwem — przerwał starzec.

— Ty może nie wiesz o kim mówię. O! cudne to było zjawisko. Kiedym ją pierwszy raz zobaczył, krew się we mnie ścięła, struchlałem ze strachu, w jej oczach był wyrok całego życia. Dziś jeszcze to powtarzam, choć inną kocham już. Ta pierwsza miłość uwiodła mnie w drugą i na pół zabiła. Było to młode dziewczę, ledwie wyszłe z pod skrzydeł matki, córka wysoko położonego urzędnika, który po śmierci żony, sam się nią zająć nie mogąc, powierzył ją ciotce, a siostrze jej matki. Ona i ciotka były niemal rówieśnicami wiekiem. wdziękiem i młodzieńczemi uczuciami. Anna było jej imię. ale jakże

ci opiszę ten ideał! a! nie! to niepodobna. Powiedz. widziałeś kiedy Wenus medycejską? miałabyś wyobrażenie o niej z opisu. Wiek cały mówiłbym o niej i wszystko marnieby poszło... wystawiłbyś sobie coś anielskiego, niepochwyczonego, ale tego życia, co było z jej oczów, tej myśli, co tryskała z czoła, uczucia, co wieńczyło wargi... nie! nigdy wyobrazić sobie nie potrafisz.

Świeżo rozkwitły kwiat, na który spadły rosy niebieskie, na którym nie ma jeszcze pyłku ziemi, spalenizny słońca, dotknięcia robaczka, mniszenia wiatru, nie da ci pojęcia o jej anielskiej świeżości. W myśli nawet nie ośmieliłem się dotknąć jej nigdy, czciłem ją jak świętą. Kształty jej były tak piękne, że ludzie, gdy przechodziła, stawali dziwować się jak na cudo, wejrzeniem miękczyła najobojętniejszych, upokarzała najmniejszych... królowa. Blond jej włosy, twarz biała, oczy niebieskie, profil greckiej czystości, składały całość zerwaną ze złotego greckiego medalu i techniciem czarodzieja pchniętą w życie. Przy niej gasło wszystko, mroczyło się. brzydło, gdzie ona była. nie widać nie było nad nią.

Taką była moja Anna! A przy tej powłoce co za dusza! co za serce. ile uczuć i rozumu, ile świeżości w umyśle. który ze strony dla nas nieznaney w świat się wpatrywał!

— Juljuszu, na Boga, łzy ci z oczów płyną. powstrzymaj się — rzekł stary — ty ją kochasz jeszcze!

— Nie! nie! jam jej może nie kochał nigdy, ja ją czciłem tylko, a dziś! to tylko stare wspomnienie, to uczucie artysty, co się cuduje dziełem Bożem. Zobaczyłem Annę i głowa mi się zawróciła, powiedziałem sobie: ja ją kocham! ona będzie moją. Ale nie godzi się kochać

aniołów. bo aniołowie nie dla ziemi są stworzeni! ta miłość moja była świętokradztwem... W pierwszym szale rzuciłem wszystkich i wszystko dla niej i uwiązałem w tym domu.

Ciotka, żona urzędnika także, była równie piękną jak Anna, ale inaczej! inaczej! W jej piękności było już coś ziemskiego, coś tak uroczego, jak ziemia, kiedy się odmłodzi i kwitnie. Emma o lat kilka starszą być musiała od Anny, ale tak życia w niej wiele wlał Bóg, że nie znać było, co z niego zużyła...

Emmę widziałeś pewnie, była do Anny podobną, ten sam wzrost, postać, taż barwa oka i włosów, ten sam uśmiech i wejrzenie; ale światy je dzieliły. Tamto był ideał niepochwycony, to tylko jego odbicie ziemskie i cielesne. W początku nie widziałem Emmę nawet, ani postrzegł tego podobieństwa, ani wdzięku, modliłem się do Anny tylko.

Anna czy nie postrzegła w początku mojej miłości, czy ją unyślnie wystawiła na próbę wytrwania, obchodziła się ze mną zimno, niczem a niczem nie dała mi poznać, że mnie z tłumu wyróżnia. I wyrok ten znosiłem z pokorą! byłem gotowy na wszystko, na wzgardę, posunięciem, odepchnięcie, zapomnienie, a nie mogłem jej nie kochać, jak nie mogłem nie oddychać.

Byłem cierpliwy jak konieczność, cichy, milczący, ale wzrok mój mówił tak głośno, że wszyscy słyszeli, że kochał. I śmiano się ze mnie.

A co mnie tam wówczas śmiech obchodził! Mogę powiedzieć, że mi odjęła życie, uczucie jego, przytomność, nawet swobodę rozmysłu. Jutra nie miałem, nie było wczoraj, była jedna ogromna, jasna, wielka teraźniejszość.

— Był to niestety! rodzaj bałwochwalstwa i szalu!— westchnął starzec. Juljusz mówił dalej:

— Po długich wiekach tej pokuty u progu, poczęły mi się otwierać drzwi świątyni, Anna spojrzała na mnie: chciałem umrzeć, żeby z sobą zanieść na świat inny to uczucie szczęścia. Zdawało się, jakby mnie dopiero zobaczyła, jakbym się zjawił jej nagle... przemówiła... pozwoliła się zbliżyć i poczęły się złote dni snów. złote dni jedyne w życiu, bo czyste, rajskie, niepokalane... godne nieba.

Ale powiedz mi stary przyjacielu, możeż być szczęście dla tego, kto je raz sam, swoją własną zburzył ręką? Dziś darmo bym go szukał; słuchaj dalej!

Emma nie wiem czy widziała miłość naszą, czy serce jej zabiło na ten widok, czy pozazdrościła Annie, czy znudzona życiem. chciała sobie zrobić igraszkę z dwojga serc młodych... Emma, której mąż o dwadzieścia lat starszy wiódł życie najobojętniej od domu oderwane, całe w klubach i miłostkach ponętnych, sama, opuszczona, stała między nami dwojgiem. Umyślnie może usunęła Annę na czas, żeby zająć jej miejsce, wciągnęła mnie w tę nieszczęsną miłość, w początku słuchając moich zwierzeń, dając rady, okazując współczucie. Ona była na wsi, ja w rozpacz, Emmę widywałem co dzień, żeby choć miejsce, gdzie Anna żyła, zobaczyć... O! dziwne jest serce ludzkie. po dwu latach bywania w jej domu, pierwszy raz zobaczyłem Emmę. Wzrok jej pierwszy mi ją raz objawił, bo był ognia pełny.

Postrzegłem, że do Anny podobna, że to są siostry twarzą i sercem, myślałem. I powiedziałem jej raz cicho, o szarej godzinie, wpatrując się w błyszczące jej wej-

rzenie. że mi Annę przypomina. Einma zadrżała, i jam zadrżał.

A! straszne to dzieje! a gdy je z serca przyjdzie dobywać. to jak gdy ranę starą lekarz przewija... cierpię i cierpię...

Einma ścisnęła mnie za rękę, jakiś szal namiętny owładnął mną, nie wiem co się stało ze mną, zamiast czei i miłości, wstąpiła w serce niepohamowana namiętność. Już nie dla Anny biegłem do tego domu, jużem jej wspomnienie oddalał i obawiał się powrotu i wstydził ją zobaczyć. O! bo w szare wieczory samotne wielem doświadczył i przeżyłem. Ona ciągle była samą. nas w domu najczęściej dwoje, i miłość nowa miała czas w cieniu urosnąć.

Ale ta tak była różną od pierwszej! Z tą dla mnie nie było chwili spokoju, dręczyłem się nią jak występkiem, obawiałem się jak szczęścia, które co chwila stracić mogłem; czułem w niej zniszczenie nim przyszło, i rozbiła się o pierwszą plotkę, o pierwszy swar domowy.

Zamknięto mi jej drzwi, zabroniono wstępu, alem się wówczas śmiał tylko... tysiące wynajdowałem sposobów zbliżenia się do niej, i spotkałem z nią. Ale jakże się zmieniła! jak ostygła! jak zimną dłonią popchnęła od siebie! Wszystko jak sen minęło...

Wróciła Anna, i jam chciał nie godzien jej, do niej powrócić, ale dumna dziewczica, jednym spojrzeniem powiedziała mi, że mnie nie zna. W tym wzroku był ból, litość. wzgarda i wieczny rozbrat. Anim mógł żebrać przebaczenia, bom się go wobec niej nie czuł godnym.

Odtąd żyłem męczennikiem, a kto zna serca męczarnie, młodego ucznia tortury, miłość bez nadziei, miłość ukaraną obojętnością, ten pojmie com znosił. Błądziłem



jak cień chodząc, schorzały, zbladły, lub całe dnie na jednym miejscu siedząc kamieniem, zatopiony we wspomnieniach. Widywałem ją, ale mnie nie znała... od ostatniego spojrzenia oczów nie zwróciła na mnie, dla niej już nie żył. Czemuż doprawdy nie umarłem!

Emma także unikała mnie z wyraźną przesadą, obawiając się spotkania nawet przypadkowego. O! i nie pragnąłem się z nią widzieć, bom jej nienawidziłem... była przyczyną wszystkiego com znosił! W jej twarzy tylko odbicie Anny kochałem, ale duszy Anny nie miała.

To pierwsze w życiu mojem zetknięcie z kobietą, zatrulo je i zwichnęło na zawsze... Odtąd chodziłem umarły, nie widząc dla czegobym miał żyć! a nie mogąc skończyć... Całą pociechą było, że czasem widział ją z daleka, czasem w Emmie przypatrywał się jej anielskiemu obliczu... Anna gasła widocznie...

— I umarła? — przerwał starzec ponuro.

— I przebaczyła mi — dodał Juljusz ciszej.

— Po tak gorącej miłości, po tak gorzkim zawodzie, potrafiłeś kochać jeszcze?

— A! kochałem — odezwał się młody człowiek niemal ze wstydem — czuję, że to вина moja. Emma owdowiała, było to po śmierci Anny, a w jej rysach jam zawsze moją pierwszą miłość przypominał, wróciłem ku niej. Przyjęła mnie zimno, na pierwsze słówko o miłości, uśmiechnęła się szydersko. — Nie chcę umierać jak Anusia — powiedziała mi — chcę żyć... boję się pana! — Odszedłem gniewny, chciałem jej dowieść, że nie kocham, że nie kochałem nigdy, rzuciłem się w świat i przywiązałem.

Hryć westchnął z politowaniem.



— Wiem — rzekł — to było ze wszystkiego najgorsze...

— Najgorsze, nie wiem, bo nad pierwszy mój zawód, którym ukarany zostałem, już nic strasznieszego być nie może. Trafiłem na kobietę, która nie miała serca, która kochać mogła trzech razem i tęsknić za czwartym. W tej kobiecie widziałem poczwarną istotę, jakie się trafiają na ziemi, a których pojąć niepodobna. Czy winna była? nie wiem; ale tak słabej, tak nieszczęśliwie płochej, nie widziałem. Było to wdzięczne stworzenie, uśmiechnięte, wesołe, chwilami melancholijne, tęskne, rzewne, pragnące czegoś zawsze, zawsze niezaspokojone. Ujęła mnie cudowną władzą zastosowania się do każdego, do myśli jego, do tonu serca, do uczucia, do natury rzekłbyś... Był to kameleon, co tysiączne barwy przybierał, a nie miał sam żadnej. Z tęsknym była tęskną do łez, z wesołym śmiała się cała, szalała z szalonym, cierpiała z bolejącym. Więcej współczucia mieć niepodobna... a żadne jej słowo, uśmiech i łza nie była udaną; nic w niej nie było fałszem. Taką Bóg ją stworzył, biedną, wahającą się, niestałą, powiewną trzciną, którą lada wietrzyk pochylał. Chciałbym ją przekląć i nie mogę! Więcej tam było nieszczęścia niż winy. Stworzona na ludzką i swoją męczarnię. potokami łez oblewała każde przewinienie, i jutro szalony pęd ją znowu na przepaści unosił. Ten rok, którym przy niej przepędził, był dla mnie wiekiem piekiel! Nienastannie spadałem z wyżyny na dno, z nadziei w wątpienia. uciekałem i powracałem, bo żał mnie chwytał, a ona u nóg o przebaczenie prosiła. Tyś widział ją, powiedz mi, możeż-li być szaleńsza i szaleniej przywiązująca istota!

Nie była piękna tak, żeby powiedzieć można, co

w niej było wdziękiem nroczym, nie odznaczała się niczem na pozór, ale dość było dwóch słów tej dziwnie sympatycznej istoty, by człowieka opętać. Dźwięk jej mowy i śpiew, miały coś w sobie tak potężnie pociągającego, że gdyby mi piosnkę Ofelji nad mogiłą zaśpiewała, kto wie, wstałbym z grobu może. Mała, żywa, zwinna i zręczna, miała oczy jakieś wschodnie, brwi czarne, usta małe i wąskie, nos krogulec, rączkę idealną, kibić polnego konika... Łzy, rumieniec, śmiech na zawołanie z niej płynęły; w godzinie żyła wieki, to się samem opowiadaniem tak wzruszała, jak gdyby endze życie było jej własnem.

Przeżyłem z nią zdrad tyle, że ich policzyć nie mogę... każde jej na bok spojrzenie było zdradą, krok, uśmiech, wezdrżenie, a cóż myśli dopiero?

Nieraz płakaliśmy oboje, a jutro drugi kochanek śmiał się z nią z łez wczorajszych. Śmiech to był przecie szczery i łzy nie kłamane. Czasem przychodziły chwile, że wejrzała na siebie, że ją wstręt jakiś i żal porywał, zamykała się pokutować, ale śpiew z ulicy, śmiech z podwórza, słówko lecące powietrzem, co się o jej uszy obijało... zmieniały włosienicę na suknię balu lub przechadzki.

Com wycierpiał, nie wypowiem, bom ją kochał, bom się porwał na niepodobieństwo i chciałem wodę zmienić w brylant, a woda kroplami drobnemi rozbiegała mi się po rękę. Nareszcie, zrozpaczony, wyrwałem się, uciekłem...

Starzec wstał z powagą i zbliżył się do młodego człowieka.

— Jeśli cierpisz — rzekł łagodnie — winą to twoja Juljuszu, nadto łatwo ci się przywiązać, puszczać

wodze sercu. zbyt ludziom i uczuciowi pochwycić się i ujarzmić dajesz. Ot i teraz, przyznaj się bijąc w piersi, nie twojaż to wina. że ze Starego powracasz znękany, zrozpaczony, odepchnięty?

— Jakiż? więc i to ci już wiadomo?

— Wszystko! wszystko! nieszczęściem trafiłeś znów na kobietę wyjątkową, na anioła, do którego każdy kto się zbliży, kto nań spojrzy, przywiązać się musi. Trzeba było zawczasie uciekać, bo boleścią opłacisz chwilę nadziei daremnej i nie tu nie zyskasz! Marja nie jest pospolitą kobietą; serce, rozum, pocztewą duszę, uczucie obowiązku, wszystko jej dał Bóg, a nie z drogi, którą sobie wytknęła, sprowadzić jej nie może, nawet miłość druga, gdyby drugi raz kochać mogła.

— O! wiem już o tem — zawołał tłumiąc westchnienie Juljusz — wiem to, a jednak ją kocham!

— Miłość kobiety! miłość kobiety! to jedyne słowo życia waszego — rzekł stary wieśniak z politowaniem i powagą — ale czyż w niej zanyma się całe życie? To tylko radość żywota, to kwiat jego, to pozłota, to nie cel przecie jedyny. Wyście jak dzieci, co zjadacie miód z chleba, a chleb rzucacie, by go potem w chwili głodu podjąć z piaskiem i błotem... kochacie wreszcie, a nie umiecie się kochać. Juljuszu, wieleś się razy kochał?

Sinutnie, z uśmiechem wymówki wzywającej litości, podniósł głowę na to zapytanie młody człowiek, ale nie odpowiedział.

— Ja, przyznam się, pojmuję miłość — mówił dalej stary — ale całkiem inną, ale wieczną i jedyną, pojmuję ją taką jak Marji, sięgającą aż za mogiłę, walczącą ze światem, z sobą, z ułomnością i słabością ludzką... wielką, potężną, a nie mrogącą powtórzyć się nigdy. Ale

to kochanie wasze, co po chwili zrzuca się jak stara suknia i mienia na nową, to coś dla mnie niepojętego, to słabość pieśczochoów, którym próżne serce dokucza, bo nie mają czem by je zapełnili, bo nikogo prócz siebie samych kochać nie umieją.

— Surowa nauka! — rzekł Juljusz smutnie.

— Ale zasłużona — odparł Hryć szybko — może dla ciebie być lekarstwem i tego życzę z serca. Tymczasem ponieważ mój gościu, burza warczy wciąż, noc nadchodzi, co z sobą poczniemy? Jahym i tu się przespał, ale ty?

— Pojechałbym i w burzę, bo nie jestem ani pieśczochem ani tehórzem — odezwał się Zlewa.

— Ani myśl o tem, musimy się zatrzymać jeszcze, póki księżyc nie zejdzie i burza cokolwiek nie minie. Z dawna to uważałem, że wschód księżyca rozpędza burze nocne, choć powodu sobie wytłumaczyć nie uniem. Naówezas wstrzymywać cię nie będę, ale gdy nas tu przypadek spędził, przypominajmy sobie czasy dawne: powiedz mi, co się tam stało z twoimi towarzyszami, a uczniami mymi, co się stało z Tomaszem, Karolem, Stanisławem?

• To zapytanie nie rozpędziło chmur z czoła Juljusza, który więcej daleko swoim cierpieniem i dziwną kryjówką otaczającą go. był zajęty, niżeli losami dawnych znajomych i mało coś przebaknąwszy o nich starcowi, który, jak się zdawało. dla tego tylko pytał, by rozchmurzyć gościa. począł przechadzać się zamyślony po podziemi. spoglądając to na jego sklepienie widocznie ślady dzieła ludzkiego noszące, to na kości rozsypane po tokn, wyścielającym dno pieczary.

Jakby wreszcie chciał odpędzić przykre wrażenie

sprawione ostatniemi słowy starca. oglądał szukając roztargnienia, podziemie stare, zdając się niem najmocniej zajęty i po chwili przerwał milczenie pytaniem:

— Być-że to może, żebyście wy nie o tej pieczarze nie słyszeli? wszak muszą być o niej jakieś podania?

— Podania! — powtórzył Hryć uśmiechając się smętnie — a gdzież ich nie ma? a kto z was je zrozumiał. To owoc tak naturalny każdego zamieszkanego kąta ziemi, że nie ma skały najtwardszej, na którejby go nie posiało życie ludzkie! Szumią niem stare dęby. płyną rzeki stare, i wiatr je opowiada w gruzach zameczysk wyludnionych, rosną na grzędach naszych ogrodów. kryją się po lasów głębi. Gdzież ich nie ma! Wiem, że dziś, późno, szukacie ich skrzętnie, spisujecie troskliwie, ale kto wam da klucz do nich, gdy wszystkie chcecie otwierać niedowiarstwem i sceptycyzmem, symbolem lub parabolą? Nie nmiacie odgadnąć ani myśli jaka w nich tkwi, ani czasu, do którego się odnoszą, ani dziejów, które opowiadają. Tymczasem tłumaczenie przychodzi z kąd się go wcale nie spodziewaliście. Ktoby posądził na przykład prace Cuviera, że one odtworzą smoki i potwory, z których się śmiał, za boki trzymając, rozumny wiek XVIII? O! nie rychło, nie rychło na znaczenie podań otworzą się wam oczy.

— Wam by najłatwiej przyszło może nas objaśnić, w was tkwi żywe słowo podań.

— We mnie! w nas! — z dziwnym wyrazem dumy jakiejś powtórzył starzec. stając wyprostowany i podnosząc czoło, z którego srebrzyste otrząsł włosy — ale wiecież ciekawi, że podania nasze są świętością naszą i skarbem? że tak je rznieć, na zimną dłoń mądrych ludzi, ciepłe łzami i boleścią. jest rodzajem święto-

kradztwa! Wy je będziecie spoczwarzać, rozbierać, przyrównywać, sromocić wykładem i niszczyć anatomią waszą! Byłoby to ostatnią pamiątkę, najdroższy zażytek, uczynić próżniaków zabawką. Wyście i pieśni wieśniaka schwycili już z pijanych ust jego ukradkiem, prawie podstępem, mimo że ich bronił jak własności i spuścizny po dziadach. dziwicie się ich poetycznym wdziękowi, ale i tu co chwila bijecie się o nierozwikłane zagadki. Są w pieśni wyrazy, są myśli, które dla was zawsze tak będą niepojęte, jak słowa obcej mowy i innego świata. Bo też świat ten, którego zażytkiem jest pieśń nasza, z którego wieją podania rzeźwiące, dla was szczególnie umarły, zniknął od dawna, bezpowrotnie! Nam on jeszcze tylko przytomny, dla nas tylko pojętny, myśmy niedaleko odeń odbiegli. Myśmy jak człowiek, co żył spokojnem życiem jednostajnem, którego chwile podobne były do siebie jak krople wody bliźniące, dzisiaj tłumaczy nam jeszcze dzień wczorajszy; u was przepaść rozdziela dwie godziny...

— Dla czegoż mielibyście z tego świata waszego robić tajemnicę? — spytał Juljusz.

— Dla czego? taini się jak skąpiec ze skarbem. Wszakże pieśń i podanie to było zarówno własnością wszystkich, waszą i naszą, wyście ją uronili, myśmy zachowali, mamy prawo być dumni z tego poszanowania przeszłości i nieprzerwanego z nią związku.

— No, więc nie chcę być natrętnym — z uśmiechem odparł młody człowiek — ale nie mogę przynajmniej zapytać — dodał schylając się i podnosząc niedogorzałą czaszkę, w której białe jeszcze i drobne świeciły ząbki — co znaczą te zgliszcza, popioły, i tak rzucane kości człowieka?

— To bardzo łatwo wytłumaczyć wam mogę—odparł starzec.—Wszak wiecie może, że to okolica, którą Bóg częstemi nawiedzał klęskami, jakich nie znały inne! mór, Tatar, kozak, z Tatarem śmierć, pożoga i najstraszniejszy jasyr, pustoszyły tę ziemię ojców moich niezliczone razy. Każda taka plaga miała inne swe dzieje, swą powieść, swój obraz, w którym się cała maluje. Jedną śpiewa pieśń, drugą szepce legenda, inną opowiadają mogiły pod wioskami, lub kości w pieczarach. Domyślisz się łatwo, co one tu znaczą. Trzy razy w płomieniach rozsypał się grnzem klasztor i kościół podkamieński, zapalony przez niewiernych, co w nim szukali złota. W Pomorzanach raz tylko mężny Świnka obronił lud chrześcijański od niewoli pohańca: wiecie zapewne o nim i o Zahorowskim. Bywało, jak się na górach ukażą dymy i ognie dalekie, a łuny odbijają na chmurach, gdy wiatry powieją spalenizną i krwią, co żywe z sioł ucieka i chroni się po lasach i pieczarach... i stoją wioski pustkami straszniemi, i drżą milczące strzechy, jakby przeczuwały pożogę, co ich czeka.

Raz, dawno temu, o! dawno!... zbiła się tu gnana trwogą gromadka ludu ze Starego, uciekająca przed Tatarem, bo po nad lasy trzy wielkie łuny gorzały... Uszli wszyscy, krom jednego chłopięcia, które obłąkało się w drodze, może za kwiatkiem, może za jasnym motylem, może przysłuchując śpiewom ptaszka, nie obawiającego się strzał tatarskich... Dziecko pobiegło potem w ślad za matką, przyszli i pohańce za niem, a nie mogąc dostać żywcem naszych, bo się zaparli tu, dymem wydusili nieszczęśliwych. Woleli zginąć, niż pójść w jasyr tatarski i spłonęli w boleściach.

Hryć westchnął, a Juljusz powiódł wzrokiem po



okopconych ścianach, niemych dziś świadkach tyłu jęków i mąk straszliwych. Zdawało mu się, że dojrzał na miękkiej glinie ślady rąk i palców, które się za nią rozpaczliwie chwytały, że w ciemnościach blade mignęły twarze pogrzelców.

— Szczęściem — kończył starzec — garść jakaś wybranych, głębiej się schroniła, i tam przeżyli zatajeni dni kilka obok trupów, rannych i konających, którzy dla zatajenia reszty, jęknąć nie śmieli, by na nią śmierci nie sprowadzić. Wywlekli się potem jak upiory na światło dzienne, i z nich wieś odżyła znowu. Ale nie mówmy o tych klęskach starych... dla was są one ciekawą powieścią, dla mnie historją rodzinną, żywą dziś jeszcze. Tu się walają niepogrzebione kości męczenników dziadów moich, a każdy ich szczątek dla mnie relikwią!!

Oddalony świst po trzykroć powtórzony z daleka, przerwał w tej chwili mowę starcowi; schwycił się nagle na nogi, nastawił ucho, począł przysłuchiwać się pilniej coraz i jakiś wyraz przestachu pokrył mu twarz zbłądłą; i szybko przeraźliwem świśnięciem odpowiedział na znak dany.

Juljusz niemniej zdziwiony i zlekły nawet, zbliżającym się coraz głosem, a więcej jeszcze postawą, strach jakiś malującą starca, obejrzał się, jakby szukając broni, i poskoczył do Hrycia. Świst powtórzył się raz jeszcze u wnijścia, a stary nań odpowiedział.

— Skryj się — popychając go, rzekł Hryć szybko — nie powinien cię tu nikt widzieć, jesteś w kryjówce wsi naszej, której wydawać nie należało... niepotrzebniem cię tu wprowadził... Idź żywo w głąb; prosto i śmiało, nie dawaj znaku o sobie... Posłuszny starcowi Juljusz cofnął się w ciemny głąb pieczary, rozdzielałajęcej się na kilka

gałęzi i wpadłszy w zakryty kątek, przytulony do słupa stanął. gdyż dalej zupełna noc i nieświadomość miejsca iść mu nie dozwalały.

Zaledwie miał się czas ukryć, gdy u wuijścia ujrzał zjawiającą się postać młodego chłopaka, który otrząsłszy włos długi okrywający mu czoło. stanął przed Hryciem cały drżący, z pokłonem zbliżył się, pocałował go w rękę i żywo mówić począł.

Był to piękny typ urody wieśniaczej. budowy muskularnej. krzepki, nie wielki, z wyrazem siły w postawie. przebiegłości i rożnmu w oczach. Płec jego ogorzała złocisto zdawała się lśnić jak piękny bronz stary, a rumieniec pałał na niej gorąco. Przy ciemnej skórze białka oczu i zęby świeciły blaskiem czystym i stanowiły sprzeczność barwy malarską. Dodajmy włos długi ciemnon blond, oczy niebieskie małe ale żywe i wydatne, nos kształtny i rozdęty jak u Araba, usta snycersko zarysowane, a będziemy mieli niedokładne wyobrażenie oblicza pięknego chłopaka stojącego przed Hryciem.

Trudno bowiem by słowa odmalowały wyraz postaci i twarzy... wyraz siły, odwagi, pewności siebie młodzieńczej jaką promieniały. Spojrzawszy nań widziałeś, że ani go oszukać łatwo, ani łatwo pokonać, instynkt mu wydawał kłamstwo, przebiegłość dało położenie, siły Bóg.

Przystąpił do starca zadyszany, spotniały, widocznie niespokojny.

— Czegożes aż tu mnie szukał? — z cicha rzekł Hryć w języku ludu.

— Ej! ojcie! nie bez powodu ja ciebie gonię! Tu bez was się nie obejdzie, lichu mamy.

— Co za lichu?

— Niceście nie słyszeli o Jednookim?

— Słyszałem ci, ale co nam do niego...

— A jeszcze daleko do półnoka? — spytał chłopak jakby sam do siebie... — o jeszcze czasu dosyć, — dodał po chwili uspokajając się, mogę wam opowiedzieć jak to było. Już to u nas od tygodnia gadają, że Jednooki ze swoją bandą w okolicy się pokazał, ale my temu nie dawali wiary. To zbój gorszy Karmeluka \*).

— Jużciż Jednookiego wiem, ale coż się stało? — nie-spokojnie spytał starzec.

— Posłuchajcież no, a to on u nas. — żywo dodał chłopak. — widać go żydzi, czy nie wiem kto naprowadzili, naślanie Boże, na naszą spokojną okolicę. Ja dziś byłem ztąd o mil trzy na zarobku w Malowicach; ztamtąd wracając nad wieczorem, wiecie karczemkę złodziejską pod lasem na Zabyłowszczyźnie, wszedłem nogi trochę wyciągnąć i fajkę zapalić. A to mnie tam Pan Bóg zaniósł. Wchodzę, tylko stara baba i to śpi nad kądzielą, drzwi były przetwarte, takem wszedł, że się ani obudziła. Dobrze ją sen zmorzył, hom i kaszlał i tupał a nie nie pomogło. A że mi tylko ognia do fajki było potrzeba, poszedłem do pieca, wygarnąłem węgli-czkę z popiołu i usiadłem sobie w kącie. Było już dobrze ciemno. A nim się opatrzył, jakim się zdrzomał... oczy otwieram, patrzę, coś majaczeje przedemną. I słyszę dwa głosy.

— A co? wszystko tam gotowo?

— Gotowo, ojczu, ludzie poszli w las na Turowszczyznę i czekają jeno znaku u parowu za kopcem.

— Wiele ich tam jest? — spytał drugi.

---

\*) Karmeluk sławny rozbójnik na Podolu.

— Jak się wszyscy zbiorą, będzie ze dwudziestu, ale dobrze zbrojnych.

— Nam ich tyle niepotrzeba! albo to dwór w Starem tak obsadzony?

— Aj! nie zawadzi!

— A o której pójdziemy na dwór?

— Z północks, niech się dobrze pośpią. mówią, że grosz jest...

— Musi być...

— A no cicho! żeby się wioska nie zbudziła, w ostatku kościół i plebanję obedrzemy. i jak świt potem lasami ztąd poprzemy się nad Dniestr, bo pójdą obławy pewnie...

Ledwiem ja tego dosłuchał z wielkiej niecierpliwości i pomiarkowawszy, że źle być może jak mnie zobaczą, przylgnąłem pod ławą. Zaczęli wołać światła i wódki, poszedł jeden za drugim do alkierza, a ja widząc, że drzwi nie zamknięte, nim się dokrzesali ognia, wysunąłem się i jednym tchem, tutaj. Co będziemy robić? Stary zadumał się... — Dobry z ciebie chłopak, — rzekł do przybyłego, lećże mi na wieś i po cichutenku ludzi pobudzić, niech się tylko zbiorą w lipach i zaczają. Ja tam zaraz będę. połapiemy złodziejów. Ale Jaśku, sprawżę mi się zręcznie, cicho i kiedy ich tam ma być dwudziestu, nas trzeba żeby było pięćdziesięciu, bo to zbóje, i im życie tanie. a my od pługa... niech zabiorą siekiery, pałki. co kogo stać; a tak się zgromadźcie by żywa dusza we dworze nie wiedziała o niczem... Ja idę do pani zaraz i sprowadzę ją tutaj, bo i jej i dziecku strach ten niepotrzebny, a my dopiero ze zbójcami zagranymy !...

A nu Jaśku żywo do wsi, ja zaraz za tobą!

Jasiek jak mysz wymknął się otworem pieczary.

gdy starzec zamyślony się odwrócił, już Juljusz stał przy nim.

— Co to jest? — spytał, — dworowi grozi jakieś niebezpieczeństwo? Zbójcy! Jednooki!

— Nie obawiaj się — odparł Hryć, — damy na to rady, dobrze, że nam Pan Bóg wczas dał o tem wiedzieć. mnie pilno do dworu, a wy do domu.

— Co? rozumiesz, że wiedząc o tem, pojedę sobie!

— A cóż myślicie!

— Bronić jej razem z wami!

— Wprawdzie nie zaszkodzi ni głowa ni ręka, ale...

— Tu nie ma ale, chcesz czy nie chcesz, idę z tobą, — zawołał Juljusz! — Dwudziestu z bandy tego sławnego Jednookiego, to nie są małe rzeczy! Nie możesz ich lekce ważyć sobie. i ja ci się przydam.

— Ale śpieszmy, — przerwał stary, — pozwalam, pójdziesz ze mną, teraz nie pora rozprawiać z upartym... waruję sobie tylko że się zastosujesz do moich rozporządzeń.

— Zrobię co zechcesz, ale mnie nie odpychaj! nalegając, — dodał młody człowiek.

Wychodzili z pieczary właśnie i Hryć niespokojnie obejrzał się po niebie, którego małą tylko częśćkę przez gęste sploty gałęzi widać było nad ich głowami... Burza jeszcze się była całkiem nie przewaliła. gromy słychać było zdaleka, deszcz lał ulewny, a blade błyski rozświecały niekiedy okolice fantastycznem swem światłem. Wicher wył po zakątach lasu i w szyjach głębokich parowów. Juljusz pobiegł do swego konia. ale go nie znalazł na miejscu, biedne zwierze znać wystraszone burzą, zerwało trezlę na której je przywiązał i zbiegło gdzieś w las, ku domowi. Nim młody człowiek powró-

cił ku starcowi. już ten odszedł był kilkadziesiąt kroków spiesznie lecąc do dworu. a idąc myślał co pocznie, by nie przestraszyć Marji, a bezpiecznie ją umieścić. Chciał uprowadzić na pewne miejsce i wahał się w wyborze. między skarbcem a pieczarą. do której w ulewę, dobry kawał iść było potrzeba.

Juljusz napędził zamyślonego i chwycił pod rękę — coś uradził? — spytał niespokojny.

— Co? jeszcze nie, — rzekł starzec — waham się i nie wiem co począć. we dworze nie możemy jej zostawić, a do pieczary mojej daleko i deszcz leje jak na złość. Zbóje iść będą od Turowszczyzny a zatem z przeciwniej strony. moglibyśmy bezpiecznie przeprowadzić ją do Ładowego gaju!

— Ale po cóż tak daleko? — spytał Juljusz.

— A dokądże?

— Nie pomyślałeś o skarbcu, — rzekł młody człowiek.

— Owszem. przychodził mi na pamięć, ale to znowu zbyt blisko, dla kobiety, krzyki, strzelanie, bój, których uniknąć nie można. bo muszę Jednookiego schwytać i jego łotrów... to rzecz nie miła.... mogą się postraszyć, pochorować.

— Masz słuszność... cóż więc będzie?

— Nie wiem. wprost idę do niej, a tam zobaczymy, co zechce, trzeba jej trochę woli zostawić...

Tak rozinawiając szybkim krokiem posuwali się do dworu, ścieżką, która mijając młynek, wioskę i plebanję, wiodła po nad stawem przez ogród do Starego dworu. Juljusz i starzec śpieszyli zarówno i wkrótce ujrzeni się pod zarostami wałami horodyszczu, które w wielu miejscach ręka ludzka połamała. Świeciły im błyskawice jeszcze przebiegające niebo, przygrywał grom daleki to

bliższy a nieustający, ulewa zmieniała się już w deszcz rześisty, drobny a gęsty, który zdawał się na długo zabierać. Przez gęstwinę drzew ujrzeni światło w oknach, Hryć odwrócił się do towarzysza chcąc mu powiedzieć by przystał, ale on już sam domyślał się tego i pod oknem Marji sparty o ścianę na straży się wstrzymał.

Obszedłszy dom do koła, Hryć po cichu wszedł do sieni, przywykli byli ludzie do częstych jego i nieraz późnych odwiedzin, nie zdziwiło ich. gdy zażądał być wpuszczonym do pani.

— Co robi? — spytał.

— Mówi pacierz z dziecięciem, — odpowiedziała służąca.

— Powiedz żeni przyszedł i że się chcę widzieć, bo mam pilną potrzebę.

Służąca pobiegła i w chwilę potem Marja ukazała się z uśmiechem na progu.

— A co mój opiekunie, — spytała słodko witając go skinieniem głowy — masz słyszę jakąś potrzebę do mnie.

Hryć się obejrzał i wszedł do salki.

— Będziemy mieli polowanie. — rzekł usiłując w żart obrócić niebezpieczeństwo.

— Jakie! — smutnie spytała Marja, której ten wyraz śmierć męża przypomniał.

— Trafem jeden z naszych ludzi podsłuchał łotrów z bandy Jednookiego, co się na dwór dziś w nocy napasé zınawiali.

Marja lekko krzyknęła i rzuciła się, jakby do łóżeczka dziecięcia zbliżyć się chciała.

— Niech się pani nie lęka, — pośpieszył stary — nie ma żadnego niebezpieczeństwa, na wsi już o tem



wiedzą. ludzie się zaraz zbiorą, wiemy, że Jednooki będzie miał ze sobą dwudziestn. a nasi się zlecą wszyscy... jednakże...

— Każesz mi zostać we dworze? — spytała śmieiej Marja.

— O! nie. — przerwał Hryć, — nie rozkazuję nic, owszem radhym pani oszczędzić niemiłego widoku i wrzawy; dziecko to może przerazić...

— Prawda! prawda! mój dobry przyjacielu, ale cóż każesz? — spytała nalegając Marja, — dokąd nas schronisz? ja lecę po Stasia zaraz...

— Gdyby nie deszcz i nie ostatek burzy a błoto. znalazłbym pewne choć trochę dalekie miejsce. gdzieby pani mogła być zupełnie bezpieczną...

— Z wami jam bezpieczna wszędzie! — z uczuciem odezwała się wdowa — ja się nie lękam... chciałabym tylko oszczędzić Stasiowi strachu, który czasem na dzieciach na długo robi wrażenie.

— Można by zamknąć się w skarbcu, bo to miejsce obronne, ale tam wszystko słyhać będzie; nie lękasz się pani deszczu i błota?

— Ty wiesz, — uśmiechnęła się Marja, — jam córka szlachcica, przywykłam do wszystkiego. Stasia nie pieczę... pójdziemy gdzie nas poprowadzisz...

— Ale, — dodał po cichu stary mierząc ciekawem wejrzeniem swą panią i badając wrażenie jakie robi: — dziwnym przypadkiem jest tu Juljusz Zlewa, który dowiedziawszy się o niebezpieczeństwie, przyleciał...

Twarcz Marji nie zmieniła się weale, trochę tylko pokazała radości. — To dobrze. — odparła żywo. — będzie nas więcej, zapewne zostanie przy dworze.

— Tak jest. myślę mu powierzyć tu wyprawę, a sam

zostanę z panią, chociaż, — dodał ciszej, — byłoby lepiej żebym sam mógł się tu znajdować, a jemu straż waszę powierzyć.

— Zrób więc jak lepiej, — odpowiedziała Marja szybko kierując się ku pokojowi dziecka, za pięć minut będziemy gotowi. ja, Staś i Marjaanna.

Hryć wybiegł tymczasem rozporządzić ludźmi i chwycić broń potrzebną. z pozostałej po [nieboszczyku. Ludzie dworscy zebrani w początku, przerazili się tą nowiną, bo napady na dwory Jeduookiego, które powiększał jeszcze strach co o uich wieści roznosił, sławne były okrucieństwa i wściekłością tego rozbójnika. Wprędce jednak dowiedziawszy się że cała wieś już na nogach, że Hryć sam kieruje obroną, żwawo i ochotczo wzięli się do przygotowań. W chwili wyniesiono wszystkę broń i ładunki, rozdzielono ją pocichu, pogaszono światła i stary wybiegł do ludzi wiejskich, już się ściągających pod stare lipy, by im oznaczyć stanowisko. Zbójcy od Turowszczyzny idąc musieli wchodzić przez wał wysoki, na który wiodły powyrąbywane w niniejszych: w tem miejscu po krzakach i za drzewami rozstawił kołem swoich Hryć, a za wałem ukrył część także, by odwrotu zbójcom nie dopuścić. Nakazał wpuścić ich wszystkich, nie dać ujść nikomu. Ludzie z pałkami, siekierami, powrozami, hakami od pożaru i czem kto miał, już się tłumnie schodzić poczynali; jakkolwiek obawiali się oni bandy Jeduookiego, która na szerokiej kraju przestrzeni wstawiła się mordem i grabieżami nocnymi, napadami na dwory i kościoły, zagrzewała ich ochota obronienia swej pani i jej wdowiego mienia.

Jeszcze szeptał ze starszyni i Juljuszem stary, gdy

Marja w płaszczyku ze służącą, która drzemiącego Stasia niosła na rękę, ukazała się w ganku.

— Za mną! — zawołał Hryć po cichu... — ja tylko pójdę z panią na pół drogi, dalej pan Juljusz poprowadzi, ale trafiszże pan, — spytał po chwili zastanowienia.

— Za to nie ręczę — odparł wahając się młody człowiek.

— O! to przyjdzie mi pójść z wami i powrócić, — rzekł Hryć, — czekajcie chwilę, każę sobie podać konia, żebym się prędzej uwinął.

Marja milcząco powitała Juljusza, któremu serce biło tak, że ust otworzyć nie śmiał. Zbrojny już w dubeltówkę i parę pistoletów, Zlewa wrzał chęcią okazania czynem, że gotów był życie dać za Marją. Niekiedy błyskawica błada oświeciła rysy spokojnie mężnej niewiasty i pełną wyrazu energii twarz mężczyzny; naówczas Juljusz śledził wzroku Marji i z podziwieniem widział w nim tylko bohaterską odwagę, zimne męztwo, i jakąś dumę oblaną staremi smutki.

Hryć powrócił wiodąc konia za uzdę, a nasi podróżni pod jego przewodnictwem spuścili się z wałów, weszli na ścieżkę nad stawem kołującą i posunęli się ku zdale czerniejącym lasom; w cichości postępowała Marja, przestraszona dziewczyna niosąca dziecko, a za nią Juljusz, którego dziwny ten przypadek dziwnie też egzaltował. Ta nocna wędrówka, ta straż którą miał spełniać, wszystkie wypadki nocy, spotkanie starca, pieczara, rozmowa, podnosiły go do tego stanu niezwyčajnego dumy, w którym człowiek czuje się silniejszy i jakby podwójny.

Coraz zbliżał się las, w który weszli nareszcie, a że Marjanna obawiała się co chwila bardziej i ciemności i drzew i wszystkiego co ją otaczało, Juljusz bojąc się o

dziecię wziął je na ręce. Milczącym wejrzeniem podziękowała mu wdowa. Parowami rozmokłemi od deszczu, w których głębi ciekły jeszcze nawałnicy potoki, przejście było trudne i miejscami niebezpieczne, ale Marja córka łowca i gospodarza, żona myśliwca, śmiała stawiała stopą i ledwie że się nie uśmiechała z obawy swej towarzyszki, którą strach kilka razy obalił.

Hryć poprzedził ich do podziemia, rozpałił zabrane z sobą światło, a gdy weszli do pieczary, Marja zdziwiona nie mogła powstrzymać okrzyku. Ta głębia ciemna, czarna, posępna, w której wałały się kości ludzkie, wydała jej się straszliwym wielkim grobem i pierwszy to raz wzrok jej obłąkany zwrócił się ku Juljuszowi.

Stary przyjacielu, gdzież to nas zawiódł? — zawołała niespokojnie.

— W najbezpieczniejszą ustron, — odparł starzec dodając jej otuchy, nikt tu was nie znajdzie, bo nikt prócz dwóch lub trzech ludzi naszej wioski, nie zna tej pieczary i trafić do niej nie może. Pan Juljusz pozostanie u wnijscia, trzech ludzi zostawiam na górze, na przypadek potrzeby jakiej, a sam jak tylko się tam uwiniemy z Jednookim, przylecę.

— Ot i siedzenie, — dodał troskliwie zmiatając połą wyskok, nakształt przyżby dokoła zostawiony, a dla Stasia jest tu pościółka nawet, kupa liści, paproci, któremu na swoją potrzebę ususzył... to mu nie zaszkodzi, podścielimy moją świtę...

— O! z tego nic nie będzie! — wstrzymując Hrycia który już ją zdejmował, rozczulona odezwała się kobieta — weź mój płaszcz, ja ci zrzucić nie dam odzieży, kiedy masz wracać po słocie.

Kiedy się jeszcze spierali. Juljusz swoją pelerynę

zarzucił na kupę liści i już na niej spiące dziecko ułożył, Marjanna, żegnając się i modląc i płacząc, siadła u nóg Stasia.

Z twarzy wdowy znikł już pierwszy przestрах mimowolny, odzyskała przytomność i spokój; usiadła na ławie niedaleko Stasia i ciekawie rozglądała się po pieczarze. Juljusz oparty na strzelbie usunął się do wnijscia.

Hryć już miał odchodzić.

— Jedną tylko, — rzekł na ostatku — mam państwu zostawić przestrogę: pieczary ciągną się bardzo daleko rozgałęziając tak dziwacznie. że tylko dobrze znającym je, bezpiecznie jest posuwać się dalej. Proszę pozostać tutaj. — To mówiąc ścisnął rękę Juljusza i zniknął.

Marja z głową zwieszoną poczęła dumać, a wzrok młodzińca upojony jej widokiem skierował się i zatrzymał na cudnej twarzy, którą uroczeni blaski stroiła miłość macierzyńska, wdowi smutek i chrześcijańska duszy pogoda.

My tymczasem zwróćmy się za Hryciem ku dworowi: koń szybko go unosi przez wioskę w podwórze, puścił go u bramy, a sam posunął się cicho i skrycie ku skarbowi. Ludzie w oczekiwaniu niemem leżeli na ziemi, stali, klęczeli, pozaczajani. Nie przywykli do takich wypraw, drżeli wszyscy prawie, gdyż w oczach ich zbójcy stawili się jeszcze olbrzymiani jak w bajce. Ujrawszy Hrycia, zmężniał z nich każdy, poczuwszy siłę, którą wódz zaufany daje. Hryć miał strzelbę gwintówkę, pistolety i stare szablisko chwycione ze ściany. Strzelcy i dworscy zbrojni byli także w fuzje i broń znalezioną, wieśniacy mieli tylko siekiery, topory i kije.

Słychać już było rozlegające się po wsi pierwsze kogutów pianie. a nic się jeszcze nie pokazywało. oczeki-

wanie niecierpliwiło ludzi i odejmowało im siły, głucha cisza szumem tylko wiatru przerywana i odgłosami uszłej już burzy, złowrogo wisała nad ich głowami. Oczy wszystkich zwrócone były na wał, przez który drapiąc się zbójcy powinni byli pokazać... Największe milczenie nakazywane było przez Hrycia.

W tem na tle szarem nieba, po nad wałem ukazała się wysoka jakaś postać, która powolnie wzniosła się nadeń, wyprostowała i w dół spuszczać zaczęła ku podwórzowi, za nią jeden, drugi, trzeci, kupa łotrów zaszarżała, mignęła i znikła. Nie można ich było policzyć, tak szybko wdarli się po pierwszym... wszyscy już być musieli między wałem, a gromadą ludzi co ich czekała. Oddzielało ich od zaczajonych może sto kroków tylko, a te szybko przelecieli zbójcy, i oparli się właśnie o linję na której stał Hryc. Jednooki idący przodem podstąpił tak blisko starca, że ten poczuł oddech jego ciepły trunkiem; zerwał się na nogi i przyłożył mu lufę do piersi wołając: — Baczność od wahu!

Wśród ciemności kilka strzałów ognistemi pasami przerznęły się w różnych kierunkach, ludzie na rozkaz Hrycia ścisnęli się kołem, kilku jęknęło, ale niepodobna było swoich rozróżnić od napastników, zannieszanie stało się niewysłowione.

Głos Hrycia kilkakroć dał się słyszeć górując nad wrzawą i umilkł nagle przerwany jękiem. Trudno opisać co się tam działo. tak noc niepodobną czyuila i obronę i napaść. Zbójcy wprawniejsi, kupą się jeli i widząc ogrom ludu, poczęli cofać ku wałom, ale tu szereg nowy zaskoczył im drogę; chcieli strzelać, zabrakło im nabożów i czasu do przygotowania strzelb na wiatr wypróżnionych. Ludzie ze Starego, jakkolwiek gorliwi, nie

umieli sobie dać rady, cofając się przed wściekłą obroną bandy Jednookiego. Sam on dowodził teraz odwrotem, w zębach trzymając nóż, w rękę strzelbę i kolbą jej roztrzaskując głowy...

Kupa zbójców nie dawała się ująć, ale i uciec nie mogła; dworsey tylko strzelali do niej i coraz to przekleństwo z krzykiem dało się słyszeć z pośrodku napastników.

Nareszcie Jednooki rzucił się na wał pierwszy, chcąc koniecznie przebić... i strzał kucharza, który się na niego zaczął położyć go trupem. Widząc upadającego naczelnika, lotry zaczęły wołać przebaczenia.

— Rzućcie broń! — dał się słyszeć głos Hrycia osłabły, — na kolana! wiązać ich! Światła!

Posłuszni, bo znękani napastnicy popadali na ziemię. szczękneły ich strzelby, krzyki rannych słyszeć się dały.

— Wszyscy na miejscach, ani się ruszyć! — dodał starzec znown. — Jeden po światło!

Milczenia chwila która nastąpiła. była tylko przerywaną jękami, z rozmaitych stron słyszeć się dającymi i przekleństwami zbójów. Latarnie wreszcie pokazały się ode dworu i dwóch ludzi nanieśli słomy i gałęzi. by stos z nich pod drzewami naprędce rozpalić.

Pobojowisko oświecone pierwszymi blaskami płonącego ognia, okropny widok przedstawiało. Z jednej strony jęczeli ranni wieśniacy, których kilku ciężko było pokaleczonych i Hryć sam z przestrzeloną ręką leżał na ziemi; w pośrodku, banda zbójców cisnęła się do koła trupa leżącego na wznak z nożem w zaciśniętych zębach, z straszliwie wytrzeszczonymi oczyma, z strzelbą potrząskaną w rękę. Było ich piętnastu tylko, gdyż reszta w zamieszaniu umknąć potrafiła niepojętym sposobem;



z tych ośmiu rannych leżało krwią się brocząc, reszta jak wilcy spoglądali ciekawie złości pełnym wzrokiem na to co ich otaczało. Ujrzeni ogromne koło ludzi i jękli.

W tem jeden z nich zdał się coś szeptać do swoich, poruszyli się nieco... chłopci którym już głos Hrycia zemdlałego od utraty krwi nie przewodniczył, poczęli się rozsypywać powoli... garstka zbójców w mgnieniu oka porwawszy ciało Jednookiego chwyciła się z ziemi i rzuciła na wał.

Krzyk i wołanie i strzały znowu... ognisko niepodsycone zagasło od deszczu, a banda już na drugą stronę wału się dobywała... Rzucili się za nią ludzie zapaleczywie chwytając zbiegów, ale trzech tylko co nieśli Jednookiego, dostali się w ręce gromady, reszta rozpierzchając po gąszczy, która okrywała taintą stronę wału, rozzerwawszy baczność niewprawnych do ścigania ludzi, uszli.

Wszakże zwycięstwo zostało przy mężnych wieśniakach, ale drogo oknpione, Hryć leżał ranny mocno, oprócz niego kilku było postrzelonych i pokaleczonych. Ci jednak nie jęczeli nawet zobaczywszy starca omdlałego i wszyscy z wyrazem troskliwości nieopisanej otoczyli go kołem, narzekając w ten sposób poetyczny i śpiewny, co z każdego lamentu wiejskiego czyni liryczną pieśń boleści. U nich każde żywsze uczucie tak jakoś naturalnie, mimowolnie w jęku w śpiew przechodzi, że widzisz zdumiony jak pieśń i poezja na ziemi powstały. A! zrodziła ją naprzód boleść i pierwsza musiała być krwawym płaczem, bo nie tak duszy nie podnosi jak cierpienie. Hryć otworzył oczy, pokropiony wodą, pod-

niósł się na zdrowej ręce i zawołał niespokojnie: — a zbójcy!

— Ojczy, — odparł Hruzda młody — trzecheśmy wzięli, a Jednooki zabity.

— A reszta.

— Uszli... — smutnie i cicho dodał któryś.

— Ha! dobrze i to moje dzieci, — rzekł Hryć — niechże mi który rękę opatrzy... zawołajcie bab. bo one do tego najwprawniejsze, ale dowleczenie mnie do chaty, tam ja sobie lek znajdę. Ale nim co będzie. pokażcie mi tych zbójów.

Otworzyło się koło otaczające Hrycia, ujrzał leżącego na ziemi trupa ogromnego mężczyzny, ubranego i uzbrojonego jak zwykli chodzić opryszki. Na srogiej jego, ogorzałej i ogromnym czarnym włosem okrytej twarzy, widać było jeszcze zastygły wyraz złości i siły. Oczu miał dwoje mimo nazwiska swego. ale z nich jedno bielmem okryte było i tem straszniej z trupa patrzyło. U nóg jego siedziało trzech zbójców, z zaciętymi usty i ponurą twarzą. Jeden z nich zwrócił się do Hrycia. zmarszczył brwi i srogo spojrzął.

— Cośmy wam przewinili? — zawołał stary — żeście nasz dwór zniszczyć chcieli, mało jeszcze narozlewaliście krwi i napalili sioł.

— Milczałbyś brodaczu. — warknął zbój — nasze to życie, a co ci do tego! zrobicie z nami co zechcecie! a z wami robi brat Jednookiego i pozostałe dzieci, czego się nie spodziewacie... Popadliśmy, ale to nie koniec.

— Zobaczmy! — z udaną odwagą rzekł Hryć.

— A! zobaczmy! — powtórzył rozbójnik szydersko. — Jednookiego śmierć nie pójdzie wam płazem! Jest nas

dosyć bez trzech co ich macie w ręku i czwartego co leży na ziemi...

Ludzie słuchali, i nikt więcej nie odpowiedział, więzien spuścił głowę i począł płakać. Lzy to były tak dziwne, że Hryć uczuł je w sercu; wszyscy zdumieni się z kąd wypłynąć mogły... a któż wytłumaczy człowieka?

Rozstawiwszy strażę do koła dworu, co pogróżki czyniły koniecznem, Hryć sparty na ramieniu Janka, powlókł się do swojej chaty, aby tam rękę przestrzeloną opatrzyć; zasiadł na ławie wśród lamentujących bab, kazał sobie podać z komory masę, którą sam na podobne razy przygotował, gdyż był i lekarzem wioski, i rozpoczął z wesołą twarzą bolesne pierwsze obinycie; stary ani syknął gdy mu flejtuch i sukno kulą wbite nie głęboko wyciągano, sam wskazał jak przemyć i pomógł obwiązać. Zaledwie to dokończonem było, gdy w okna chaty uderzył blask krwawy, Hryć porwał się przerażony, dwór się palił!

— Do dworu! — zakrzyczał biegnąc ku drzwiom — do dworu wszyscy ratować, to zemsta zbójców! Uderzyć we dzwony kościółka!

Ale już drogą ku zamkowi szła spieszo gromada cała, kobiety, dzieci kto żył, z krzykiem i płaskaniem w dłonie. Po nad lipami wioski płomień wznoszący się chwilami oznajmował że się dach pali... przybiegli gdy go już całkiem obejmowały płomienie. Ratować dworu nie było podobna, trzeba było ocalić tylko mienie i resztę budowli. Hryć z wielką przytomnością zajął się znowu rozporządzeniami, a wieśniacy z gorliwością podwojoną spełniali każde jego skinienie. Wynoszono wszystko co się wychwycić dało, sprzęt nawet, okna, drzwi i ze składów rzeczy mniej cenne co chwili wyrzeczano

na podwórzec. Sufity zawalać się zaczynały, gdy resztki wyrwano jeszcze... nie nie zgorzało prócz starego dworu, ale sam dwór był drogą pamiątką dla Marji. a żaden pałac zastąpić go nie mógł. Każdy tam kątek przypominał chwilę jakąś, do każdej izby przywiązywało się dawne podanie dziadowskie, a w pokoju Joachima ostatni ślad znikł jego życia. Wiedział Hryć jak strata starego domostwa dotknie Marję, i ze łzą w oku spojrzął na zgliszcza dogorywające; ale płakać nie było czasu, deszcz wilżył wyratowany sprzęt. trzeba go było unieść i zachować do pustego skarbcu, który się teraz bardzo przydał.

Cokolwiek wolniejszy, nie dbając już, że i bliska oficyna płonęła zajęta, gdy dwór ratowano, Hryć pomyślał o potrzebie uspokojenia swej pani; pomimo dolegającej rany, kazał sobie podać konia i pospieszył do Ładowego gaju.

Kilka razy jeszcze w drodze siwą głowę odwrócił ku dworcowi, który dymił z daleka, jakaś myśl ciężka ucisnęła mu serce, tęskno spuścił głowę na piersi.

— Gdzie ją teraz poprowadzić? — rzekł do siebie — do Starego nie rychło będzie mogła powrócić, nie ma gdzie tam głowy położyć; a dwór nowy chyba za rok stanie... tak! pojedziemy do miasta. Stasiowi to nie zaszkodzi i od Juljusza nas uwolni.

Po cichu wszedł do pieczary, w której głucho pano wało milczenie, świeca dopalała się, gdzie ją postawiono. Staś spał na paprociowem pościu. Marja się modliła, spoglądając na niego, a Juliusz oparty na strzelbie jak posąg skamieniały, wlepił w nią oczy i zesłupiał uwielbieniem.

Jedno wejrzenie na niego przekonało starca, że nie-

uchronna konieczność, co go zbliżyła do Marji, rozpłomieniła na nowo milczącą namietność. Wszyscy rzucili się ku niemu i wdowa pierwsza zobaczyła rękę na czerwonym pasie zwieszoną.

— A! tyś ranny mój opiekunie! — zawołała — mów, mów. co się stało! tyś ranny dla nas! Jak-że ci to zawdzięczyć!

— Rana ta nieznacząca — uśmiechając się odpowiedział wieśniak — dzięki Bogu wszystko dobrze. Jednooki padł zabity, trzech z jego bandy złapaliśmy, kilkunastu rannych, reszta uciekła.

— A z ludzi naszych nie zabity kto uchowaj Boże? — troskliwie spytała kobieta.

— Nikt, kochana pani, nikt, choć przeprawa była ciężka — dodał po chwili — złapani bronili się wściekle! I pomścili się niegodni śmierci swojego herszta.

— A! cóż się stało? dwór! dwór! — z przestachem łamiąc ręce spytała wdowa.

Hryć smutnie spuścił głowę.

— Tak jest pani — rzekł — zgadło serce twoje, dwór się spalił... ale co było w nim. wszystkośmy uratowali, szpilka ci nie zginęła.

Pomiarkowała Marja, że zbytnia żalność wobec takich poświęceń ludu. byłaby dla niego boleśną jakby wymówką, i choć ją ta strata ciężko dotykała, zamilkła.

— Wola Boża — odpowiedziała z cicha — ale gdzież się podziejemy teraz...

— Namyślim. postanowim — rzekł stary — nie straszaj się pani. Tymczasem pogróżki reszty zbójców nakazują nam ostrożność, trzeba tu jeszcze pozostać na dni kilka.

Juljusz stał milczący w ciągu tej rozmowy, zdawało

się, że uczucie wezbrane mowę mu odjęło. — Chodź pan — rzekł stary do niego — możesz do domu powrócić, nie ma już potrzeby straży, bo tu nie ma niebezpieczeństwa.

— O jabym tu został wieki! — szepnął oddalając się niechętnie — pozwól mi pilnować jej jeszcze...

— Nie! nie! jedź pan do domu, ja zostanę na straży sam, ludzie są dworscy, a panu dłużej tu bawić niebezpiecznie. Jeśli zechcesz powrócić... dowiedzieć się... znajdziesz nas tu za dni parę. Ale ci nie radzę — dodał poważnie i smutnie — pomnażać sobie cierpienia widokiem kobiety, która cię kochać nie powinna i nie może! Jedź! i nie powracaj, to rada przyjaciela.

— Przyjaciela? — z gorzkim uśmiechem spytał Juljusz boleśnie zrażony.

— Przyjaciela, lekarza, co ci gorzki podaje napój, by może wybawić od najstraszniejszej choroby, od rozpaczyl

— Myślisz, żem przez tę jedną noc kontemplacji, milczenia, nie nabrał już tyle ile potrzeba na całe życie męki?

— Szaleńcze! szaleńcze! — odpowiedział Hryć — idź jeśli ją istotnie kochasz, chcesz-li i jej zatrzeć życie, jak zatrueś sobie?

I podał mu dłoń drżącą, żegnając, Juljusz ją pochwycił w milczeniu, uściśnął i żywo zarzuciwszy strzelbę na ramię, w las uszedł.

Stary popatrzał za nim tym wzrokiem litości, który zdaje się w sobie zawierać modlitwę; dotąd trzymała go na nogach powinność, uczuł nagłe osłabienie, i osunął się powoli na trawę. Sen skleił mu powieki znużone, gdy słońce wschodzić poczynąło nad pogorzeliskiem Starego.

---

Nazajutrz Juljusz wybladły, zdyszany, jak gdyby na chwilę nie spoczął i błakał się tylko po lesie, zjawił się u wnijscia pieczary, u której siedział Hryć, pogładając na las oświecony blaskami cudnie rozwieszonymi wśród zieleni, i wdzierającemi się w gęszcze, od płonącego zachodu nieba.

Spojrzał na niego stary, przeczytał co przecierpiał młody człowiek i wwiódł go milezący do pieczary.

Juljusz spodziewał się tu znaleźć Marję i niespokojnem okieni poleciał aż w głąb czarny podziemia, ale się zawiódł. Marji nie było, brat przyjechał po nią i wywiózł z sobą do Sasowa.

Nie rzekł i słowa młody człowiek, usiadł tylko na bliższej ławie i zdawał się gwałtownie waleczyć z sobą; Hryć udawał, że tej walki nie postrzega, począł mówić o rzeczach obojętnych i nie dopuścił mu nawet wspomnieć o Marji. Wczorajsze wypadki obfitego rozmowie dostarczały wątku; ale Juljusz rozgadać się nie dał. Po półgodzinnem milczeniu wstał, ścisnął rękę starca i odszedł.

Kilka dni upłynęło, gdy dwaj przyjaciele znowu się spotkali w parowie do pieczary wiodącym; Hryć często tu przebywał, Juljusza ciągnęło wspomnienie, do którego potęgi przyznać się nie chciał. Udawał prostą ciekawość.

Ale na ten raz, jakby jej rozumieć nie chcąc, Hryć go nawet nie wprowadził do wnętrza; usiedli na obrywie gliniastym.

Młody człowiek spokojniejszy zdawał się nieco, a więcej jeszcze grał spokój, by się mniej niebezpiecznym pokazać. Poczęli mówić o rzeczach obojętnych, Juljusz wskazał pieczarę.



— Tyś mi wszystkiego nie powierzył przyjacielu — rzekł powoli — przebyłem pamiętną dla mnie noc pełną widzeń niebieskich w tem podziemiu, a pewien jestem, że go nie znam wcale. Nie odkryjesz-że mi jego tajemnic? Pieczara ta widocznie ciągnie się dalej, widziałem cię chodzącym w głąb i wynoszącym różne sprzęty, które zdradziły, że tam coś więcej nad puste lochy być musi. Powiedz mi, czy jeszcze nie zasłużyłem na wiarę u ciebie?

Juljusz to mówiąc, miał na celu do Marji się zbliżyć, nie wiedział o jej odjeździe do Sasowa i sądził, że starzec ukrył ją w głębinach niedostępnych podziemia.

— A gdyby — odparł uśmiechając się Hryć — tajemnica, jeśli jest jaka, nie była moją? chcesz-że uczynić innie zdrajcą?

— Dla czego nazywasz to zdradą? — odparł żywo Juljusz — czyż dawne i nowe stosunki nie połączyły nas z sobą na wieki? Jest-żem ci obcym? mogęż tobie lub twoim być nieprzyjacielem?

Starzec popatrzał długo na Juljusza ze smutkiem niewymownym, zdając się czytać w twarzy jego. i odrzekł po chwili naniysłu:

— Prawda... myśmy z dawna połączeni z sobą, winieniem ci zaufanie, boś na nie zasłużył umiarkowaniem, zwycięstwem nad sobą... będziesz wiedział co chcesz wiedzieć. Ale niech ci się nie wyobraża, żeby to co ci się może marzyć ciekawem jakimś odkryciem, zaspokoło rozbudzoną wyobraźnię twoją. Stare to tylko pamiątki przeszłości z czcią dochowane do dziś dnia.

— Chcesz wiedzieć i widzieć wszystko? posłuchaj więc naprzód.

Stare, wieś nasza w tych wiekach, o których nie

mówią dzieje wasze, których zaledwie się domyślacie, tak dla was nie podać zerwana, było znaczną bardzo lechicko-słowiańską osadą. Dawały jej znaczenie szczególnie dwie większe świątynie, dwa źródła za święte uważane, dwa Bugaje... i kapłani pilnujący przy nich grobów i ołtarzy.

Zamczysko było naówczas mieszkaniem możnych książąt, panujących nad obszerną kraju przestrzenią. W miejscu, które się dziś jeszcze zowie Lelową Kontyną, stała jedna świątynia, druga na tym okopie w Lelowym gaju. Przy tym strumieniu, co płynie u stóp pagórka, odbywały się zapomniane dziś obrzędy pogańskie praojców naszych.

Może te dwie świątynie. zbiegowisko ludu do nich, może inne nieznane nam przyczyny, wyrobiły w osadzie Starego takie zaniłowanie wiary i przeszłości, jakiegoby już próżno szukać gdzieindziej. Nie wiem wiele wieków upłynęło od owych czasów. a one nam są jeszcze tak przytomne, a myśmy jeszcze tak z nimi związani. jakby się to wczoraj działo, jak gdyby jeszcze nie zarosły mogiły tych. co nam przekazali drogę i wielkie wspomnienie po sobie.

W rodzinie naszej było dziedzictwem pierworodnych kapłaństwo świątyni Ładowej... mój praojciec. ostatni stróż jej. zginął sam, nożem ofiarnym bóstwu swemu zabiwszy się na obłąkę, gdy ujrzał, że krzyż Chrystusów starą wiarę zniszczyć musi. Wielu z braci jego dali się unieść za fałszywe bogi swoje. w których czcili ojców wiarę. Wspomnienie chwil walki trwa jeszcze do dziś dnia u nas przytomne. Syn ostatniego kapłana, po wyróceniu Ładowej Kontyny w gaju, uważany był przez gromadę Starego za jego następcę, i tajemnie dzieci po

rodzicach dziedziczyły pamiątkę dostojęstwa. a z nią pewną władzę nad ludem.

Wieków potrzeba było, żeby się tu prawdziwa wiara zaszcześcić mogła, i do dziś dnia obok niej trwa poszanowanie dawnej, trwa cześć jej wspomnienia. Z ojca na syna spada dotąd w mojej chacie niejako kapłaństwo przeszłości. i jam dziś ostatni może. bo bezdzietny wieków spadkobierca. Smutne to zwierchnictwo, smutna władza nad mogiłami. nad tajemnymi obrzędy. nad łzami. które ukrywać potrzeba. bo się do nich przyznać nie godzi.

Ta chata. którą widziałeś może na wzgórzu, stoi na straży najstarszego słowiańskiego cmentarzyska, gdzie jeszcze na stosach palono trupy, gdzie na każdym prawie kroku rozgniatasz gliniane popielnice, kości niedogorzałych, łez zaschłych i smutnych zabawek dziecięcych pełne. Drugie, późniejsze zgliszcze, leży w dolinie. przy dawnej Kontynie Lelowej. Ja znam każdy ich kamień, każdą mogiłę widoczną i niedojrzaną, każdy dół grobowy. i powiedzieć mogę jeszcze czyjej rodziny spoczęły w nim kości. Uczyłem się tego od ojca w dzieciństwie, przypomniałem po powrocie.

Chrześcijański teraz lud wioski naszej tęskno nosi żałobę po dziś dzień za swoimi bogami; nie czci ich już, ale się jeszcze nie umiał rozbratać z nimi. W dzień wspomnienia zmarłych, na Dziady, przypomina on i zmarłych swoich i zniszczone bogi: wywołując je żalem jednym. Nawet mogiły praoców postroił krzyżami. żeby je uświęcić, a Ładowy Gaj i Lelową Kontynę krzyżami także ostawił. by się mógł tam modlić. gdzie się modlili dziadowie.

O! piękna i wielka jest ta cześć podań przeszłości,

ten pośmiertny związek z duchem ojców, który świat rozszerza otwierając wrota do bezdennych zamierchłych wieków, co nas poprzedziły i ustały nam drogę trupami swemi. Ja nie pojmuję nawet, jak bez tego związku ze światem duchów żyć można.

To mówiąc, starzec wprowadził Juljusza do pieczary, zapalił świecę w milczeniu i poprowadził go z sobą jednym z przejść podziemia, węższem i więcej bryłami gliny i gałęzmi zawalonem od innych. Długa a wązka szyja kilka razy skręcała się przed nimi i rozdzielała na kilka lochów w różne idących strony, rzucili w prawo i w lewo szersze i węższe izby wykute w ziemi, uareszcie przedarłszy się przez nawał suchego chrustu tarnowego, stanęli u drzwi dębowych, które prosta drewniana ale misterna zamykała kłódka.

Siekierą chyba mógł ją uieznający sposobu otworzyć.

Z podnieconą do najwyższego stopnia ciekawością i trochę nadziei widzenia Marji, wszedł Juliusz za starcem do wynioślejszej sklepionej pieczary, pod samą dawną znajdującą się świątynią. Była to jaskinia kulista prawie, dwadzieścia kroków może obwodu mająca, sparta w pośrodku na jednym ogromnym słupie, od którego łukami rozrastało się dosyć kształtnie wyprowadzone sklepienie. Widok jej, przy słabym migającym blasku świecy, wyrwał mimowolny okrzyk podziwu z piersi młodego człowieka, tak to, co tu ujrzał, niepodobnem było do niczego widzianego w życiu.

W słupie olbrzymim, wydrążonym głęboko, na pniu ogromnego dębu, wznosił się bałwan kamienny, nieforemny, ale z dziką wyrazistością pełną fantazją wyciosany. Nie było w nim sztuki, ale to, co sztukę tworzy, uczucie... ręka co go wyrobiła, czuła potężnie myśl, którą

wyrazić chciała, i przelała w ledwie ociosany głaz, piętno siły, która tworzy Ład i trzyma świata porządek.

Takie było pogańskie Ładu pojęcie, a ład ten zapomniany, wszystko *ładne* czynił boskiem niejako, wznosząc piękność do przymiotów bóstwa i łącząc ją z porządkiem, bez którego nie ma wdzięku... Ład więc był dla nich źródłem piękna i zasadzał się na pewnem prawie, brak jego stwarzał co *nieładnem* i *beładnem* było. W tych wyrazach dziś nachinalnie powtarzanych, ile jeszcze myśli się kryje! Nieładne już się poprawić nie mogło, w beładzie były pierwiastki ładu! Lecz wróćmy do bóstwa i świątyni.

Prostemi rysy natechniony wieśniak wykuł swojego boga, ale ta bryła dziś jeszcze mogła zdziwić i przerazić. U nóg bóstwa był ołtarz kamienny, wsparty na kościach zwierząt foremnie ułożonych przy podstawie... naczynia ofiarne stały dokoła. Sprzęt ten odwieczny z miedzi i srebra wykuty, uderzał kształty dziwaczne, które jakieś znaczenie wotalne mieć musiały, były to głowy baranów, paszcze dzików, dzbany w postaciach węzów, żmij, smoków i potworów; znać ręka pieczołowita o zachowanie, ocierała je ze rdzy i pyłu, bo błyszczały jakby ich wczoraj używano, i polewa wieków osiąść na nich nie miała czasu.

Na wierzchołku ołtarza dwa noże ofiarne miedziane, grubym pyłem przysute, nie tknięte widać, rdzą zjedzone, spoczywały nieporuszone od lat kilkuset; rękojeści ich oprawne były w róg i drzewo.

Dokoła po ścianach wity się nieprzeliczone rogi zwierząt, poplątane i tworzące rodzaj sieci misternej, sięgającej sklepienia. Z nich także wyrobiony świecznik zwieszał się na żelaznym łańcuchu przed bożyszczem.

Ale co najwięcej uderzało, to we wgłębieniach dokoła pieczary wyrobionych, stojące na podstawach kamiennych skelety.

Niektóre z nich jeszcze się trzymały oparte o ścianę; na tych, szmatami zbutwiałemi wisiały sukien reszły zczerniałe, inne rozsypując się opadły, zsunęły i leżały kupą białą kości. U kilku głowy tylko stoczyły się pod nogi, na skroni ich jeszcze znać było zeschłe wieńce z liści dębowych, które ręka późniejsza odnawiać musiała. Dziwne postaci tych kościotrupów, krąg ich otaczający bożyszczę, przejęły trwogą chwilową Juljusza; podniósł głowę i z podziwieniem ujrzał dopiero nad kamiennym bałwanem u słupa zatknięty w górze błyszczący złocisty krzyż.

Tym krzyżem zwycięskim, biedni czciciele pamiątek, chcieli uświęcić westchnienie za przeszłością.

— Ty tu wchodzisz ciekawy i trwożny — rzekł w tej chwili Hryć — ja ze łąą i uszanowaniem; to są dzia-dowie moi. Patrz! oto ostatni kapłan naprzeciw ołtarza, jeszcze białym uwiniony rańtuchem, u nóg jego leży dębowy wieniec, który składamy w każdą rocznicę jego śmierci, na każde Zielone święta. Maim i ten grób wówczas żywotem przypomnień! Za nim szeregiem dzia-dowie, pradziadowie. praojcowie nasi, zajęli miejsca dokoła i oniemieli stoją wierni swemu ołtarzowi, nad którym dziś błyszczy zwycięski krzyż... Macie wy w swoim dzisiejszem społeczeństwie wyższe i silniejsze uczucie wiary i cześć przeszłości? możecie się pochlubić jak ten lud ciemny, równą potęgą i wytrwałością charakteru. Myśmy zrozumieli instynktowo, że doskonalenie się każde spoczywać musi na tle własnej przeszłości; wyście tę przeszłość częścią sponiewierali, częścią się jej zaparli.

— Niestety! tak jest! — smutnie odpowiedział Juljusz — olbrzymi już spoczęli w mogiłach.

— A dziś-że olbrzymy już byćby nie mogły? — rzekł Hryć siadając na szerokiej ławie kamiennej naprzeciw bożyszczu, i wskazując miejsce obok siebie Juljuszowi.

Ze wzrokiem ciekawością zapalonym, na chwilę zapomniawszy nawet Marji, oglądał się młody człowiek... Hryć milczał.

— Pamiętasz — odezwał się po przestanku — ten wieczór niedawny, gdyśmy się tu przed burzą schronili; mówiliśmy naówczas o oświacie ludu i jego podaniach.

— Pamiętam coś jak przez sen — rzekł Juljusz — dla mnie tyle wypadków i myśli i uczuć nagromadziło się w tych dniach kilku, tyle w nich przeżyłem, przecierpiałem, przemarzyłem zwłaszcza, że mi się to zdaje wiekiem.

— Przecierpiałeś — podchwycił stary — nie chwał-że się cierpieniem, bo stracisz całą jego zasługę, już nie cierpi, kto usta otworzył i jęczy, na to jest wyraz inny... boleje on! Cierpienie powinno być milczącym jak cierpliwość.

Pamiętasz może ten wieczór i rozmowę naszą, kochany Juljuszu?

— Jak przez mgłę, jak przez sen, coś mi się przypomina.

— Mówiłem ci naówczas, że i lud ma starą oświatę swoją, pozostałość wieków niepoliczonych; nie mogłem ci jeszcze powiedzieć, że z kapłaństwem nie jedna tajemnica dla was i dla waszej nauki niepojęta i niezbadana, podaniem przelała się na mnie. Dla tego, że ją posiadam, śmiało wierzę, iż nauka ludu prostego jest



pozostałością drogą wieków pierwotnych i wiedzy objawionej w nich ludziom przez Boga.

— Nie żartuj-że ze mnie — rzekł Juljusz z uśmiechem smutnym — wiesz, że w cuda i tajemnice oddawna wierzyć mię oduczono.

— Was może — przerwał Hryć — i wam wolno im zaprzeczać, boście się oddarli od Boga i od ziemi, od podań wiekowych i mądrości wlanej dla wiedzy, którą zdobywacie mozolnie o własnych siłach; ale lud, ale my wieśniacy wierzym jeszcze w cuda i tajemnice; nie rozstaliśmy się z tym światem dziwów dla tego, że go pojąć nie zdołamy. Ognisty niecz anioła nie wygnał nas z tego raj. Nie wszystkie ludu bajki, których słuchacie jak wyrożeń czczych fantazyj, są dziecinnym wymysłem, to co w nich dziś śmiech uczonych obudza, jest często zabytą tylko i zakrytą prawdą. Owe ziele kruszące żelazo, owa woda ożywiająca, i złote jabłka czarownego bajek kraju, to dla was bajdy, a to może tajemnice nasze! Nie wszyscy znają je wieśniacy, ale są między nami, na których przelała się mądrość pradziadów, i co badacze dochodzą inozolnie, zdobywają po pruszyńce, to my hurtem odziedziczyliśmy w daremnej puściźnie. Śmiejesz się? śmiech to niewiedomości i pychy!

— Czarodzieju mój — tęskno odezwał się Juljusz — daj-że mi ziółko zapomnienia, daj mi napój, coby serce uspokoił.

— Dziecko! — rzekł starzec z cicha — wiesz-że ty, czy zapomnienie da ci szczęście? czy zobojetnienie uleczy z wiekuistych niepokojów? Myślisz, że ziemia-matka, co ma lekarstwo na wszystkie rany i bóleści ciała, nie ma środków cudownych na uleczenie duszy? Myślisz, że nie kwitnie cudowny kwiat paproci dla mężnych w wigilją

Kupały? Tym kwiatem jest potężna wola... I kwiat lubczyku, co przyciąga... ofiarą i poświęceniem, i kwiat zimnej niepamięci...

— A! daj-że mi go starcze!

— Nie! — snrowo odpowiedział Soroka, brew marszcząc siwą — nie... te kwiaty, co może kwitną dla innych, nie są dla ciebie, tyś nie ten człowiek prosty a namiętny, którego leczyć potrzeba ziołami na serca chorobę; tyś sztucznie stworzona istota w własne wierząca siły, lecz się męstwem i pracą i zwycięstwem nad sobą; dla nas, co rozpaczać umiemy, których ból zabija jak żelazo, są zioła cudowne, dla was ich nie ma, wyście przestali wierzyć w cuda.

— A ty nie wierzysz cierpieniu memu? — z dziwnym wyrazem rozpaczy porywając się, zawołał młody człowiek wybuchając.

— Wierzę! wierzę! ale to nie pierwsze tego rodzaju cierpienie, nie pierwsza miłość, a cóż ręczy że ostatnia? Świat cię z niej uleczy szaleńcem lub nasyceniem... idź do niego po ratunek.

To mówiąc, uśmiechnął się Hryć i wskazał na drzwi, które Juljusz przestąpił, i znowu poszli ciemnymi przejściami do pieczary. U jej progu ścisnęły się w milczeniu dłonie dawnych znajomych, czuć było w tym uścisku pożegnanie, i choć słowa nie rzekli, starzec poznał, że Juljusz nie wróci więcej do Starego.

We dwa lata po opisanych wypadkach, jednego poranka jesieni przechodził koło teatru hrabiego Skarbka pięknie ale dosyć niedbale ubrany, smutnej twarzy młody

człowiek ze spuszczoną głową, z łaską założoną na plecy, ze wzrokiem wlepionym w ziemię. Krok jego był powolny i zdawał się pochodem bez celu, bez myśli przewodniczej... dumanie bezładne, urywane, odwodziło go kędyś daleko od miejsc, które przebiegał nieprzytomny. Na jego twarzy widać było ślady jakiegoś głębokiego cierpienia, z którym się już zżył człowiek, brzemienia, do którego ciężaru przywyknął. Wpadłe oczy, zgasty z policzków rumieniec, zacięte usta, chmurne i poorane czoło. świadczyły o zadawnionej nieuleczonej boleści.

Z drugiej strony placu przechodził w tejże chwili z kilkoletnim chłopaczkiem, którego wiódł za sobą, starzec z siwą brodą w prostej chłopskiej czapce, w butach z czarnej grubej skóry, z nieociosanym kijem w ręku. Dziecię, które prowadził, troskliwie na nie co chwila się oglądając, to mu coś tłumacząc, nie wytwornie było ubrane ale z pańska, a sprzeczność stroju przewodnika i chłopięcia tak była uderzającą, że wszystkich oczy zwracały się na tę dziwnie dobraną parę, która nigdy nad obecną chwilę mocniej zastanawiać nie mogła. Nie jeden z przechodzących już chciał przerażony krzyknąć, widząc dziecko szlacheckie w ręku wieśniaka, nie jeden stanął i zapatrzył się na to fenomenalne widowisko w kraju podzielonym na nieszczęśliwe stronnictwa; gdy starzec podniósłszy oczy przypadkiem, postrzegł naprzeciw idącego powoli młodego człowieka, zmierzył go wzrokiem ciekawym, badawczym i żywo podszedł ku niemu.

— Juljuszu! — wykrzyknął z uczuciem zbliżając się.

— A! to ty, stary mój nauczycielu — zawołał podnosząc głowę młody człowiek z radością jakąś smętną i trwożną — to ty... ale cóż porabiasz w nieście?

— Co robię? widzisz, znowum dobrowolny ze wsi wygnaniec! znowu tęskny więzień murów miasta... czyż nie poznałeś Stasia?

Dopiero teraz postrzegł Juljusz chłopczynę uśmiechnionego i zaczajonego za szeroką połą świty Hrycia, który wyskoczywszy nagle, rzucił się ochoczo w objęcia młodego człowieka, ściskającego sierotkę z niewymownem uczuciem.

— A mama? jak się ma mama? co u was słyhać w Starem? a nie zapomniałeś ty o mnie?

— My z mamą razem tutaj we Lwowie. a ja go nie bardzo lubię — odpowiedział Staś żywo — pierwszych dni tom się trochę ciekawił oknem, a teraz to już wszystko jedno a jedno i nudno... Ot! chodź no pan do nas... my mieszkamy ztąd o dwa kroki... Mama tak będzie rada zobaczyć pana Juljusza!

Juljusz spojrział na Hrycia. ten milczał oczy spuszczeniwszy, jakby zafrasowany.

— Chodź pan do nas! chodź-bo proszę! — powtarzało dziecię czepiając się sukni młodego człowieka. ja ciebie nie puszczę, musisz pójść...

Juljusz wahał się jeszcze.

— A więc chodźmy — odezwał się nareszcie wieśniak — *ten raz* wszak nas pan odwiedzić możesz — dodał biorąc go za rękę — pokażemy ci nowe mieszkanie nasze i pogadamy chwilę, swobodniej niż na ulicy.

Zwrócili się razem wszyscy, Staś poleciał przodem do matki. żeby jej gościa oznajmić. Weszli do pięknego domu, którego całe jedno piętro zajmowała wdowa z synem i nauczycielem. Na progu przyjęła dziecię swoje i z zadziwieniem postrzegła towarzyszącego mu Juljusza,

któremu z okrzykiem szczerej, wesołej radości podała rękę.

— A towarzyszu złej chwili i pilny stróżu pieczary— zawołała żywo— cóż ty tu porabiasz? ucieśmy od dawna o tobie nie wiedzieli, znikłeś bez pożegnania i podziękowań naszych. Bawisz więc w mieście jak my?

— Ja, od wyjazdu ze Starego ciągle jestem we Lwowie — odpowiedział nieco pomieszany Juljusz — na wsi nie mogłem bawić dłużej... żyję tu, a raczej patrzę na życie dzisiejsze smutne, dziwne, z założonemi rękoma jak posąg... a pani?

— Ja! — zawołała wdowa wprowadzając go do saloniku — ja, jak pan widzisz, musiałam się tu wynieść za radą Hrycia mojego poczeiwego, bo w Starem, póki dom stanie, nie ma gdzie mieszkać, i zbójcy nam ciągle grożą! O! gdybym panu opowiedzieć mogła rozczulającą opiekę, troskliwość tych ludzi poczeiwyh, tych braci serdecznych, którzy jak widoma opatrność czuwają nademną! Odbudowują już dwór i Hryć z ncznciem, na które on się tylko mógł zdobyć, robi go tak do starego podobnym, bym pomyliła się wchodząc i wzięła go za dawne poczeiwe domostwo nasze! To piękna myśl jego. Pokój Joachima ustawim, nrządziimy jak był za niego. Chciałam gdziekolwiek przytulić się w Starem i pozostać, ale dla Stasia musiałam pożegnać wreszcie mogiłę moją zieloną, miejsce tak dla mnie drogie, i wszystko co mnie do niego wiąże, i przyjechać w gwar miasta, w ognisko niecznośnej, dzikiej walki... Stasia wychowanie tylko sprowadzić mnie tu mogło, poczeiwy mój opiekun podjął się nim kierować i... widzisz pan mnie tutaj!

To mówiąc westchnęła cicho.

— Tak! tutaj! — dodała — ale serce moje zawsze tam! i w pierwszej chwili wolnej powrócę do zielonych lip Starego, do ciszy naszej wioski, by resztę życia tam spędzić. O! tak mi już pilno do końca!

Juljusz spozjrzał na nią: była w całym blasku młodości jeszcze piękności, piękności którą opromieniał spokój enoty i cisza serca przejętego cierpieniem co już było do niego przyrosło; łzawe jej oczy nie straciły nic blasku, kibić giętkości, włos połysku, usta różowej swej barwy; wydała mu się tylko trochę bledszą, bielszą trochę, jakby ją czas powoli z róży na lilję przekształcał. W oczach jego była idealniejszą jeszcze, zaświeciła mu promienistszą. Spozjrzał i zadrżał, spuścił wzrok, zamilkł i obłok łez mignął mu przed zasłoniętą źrenicą.

— A pan? — spytała wdowa.

— Ja? czyż warto pytać o mnie? — cicho poszeptał Juljusz — ja żyję, męcę się, patrzę i nie wiem czy co widzę. Życie mi zbrzydło, zczerniało, nie mam co z niem zrobić.

Hryć stojący z boku widocznie się oburzył.

— Jeśli człowiek nie wie co ma z życiem zrobić, jego to wina nie losu, — przerwał żywo, — zawsze jest co począć, byleby wola i siła. Nie mówcie tego Juljuszu, to bluźnierstwo. Bóg nas nie stworzył na jęki bezsilne, ale na pracę w pocie czoła i serca: cierpieć i pracować.

— A kiedy sił braknie?

— Pracować na siły, one się zdobywają jak wszystko na świecie.

— A kiedy ludzie odepchną?

— Znieść i pracować na ich miłość!

— Miłość, — rzekł Juljusz — alboż się na nią pracuje?

— Wy bo mnie rozumieć nie chcecie. — smutnie podchwycił Soroka — nie ma co mówić z wami, ot lepiej chodźcie dla rozweselenia zobaczcie pokoik Stasia i moją przy nim izdebkę, to was rozerwie. a ja się pochwalę. Chodźmy.

Dosyć niechętnie przystał na to Juljusz, a wdowa rzuciła za odchodzącym okiem ciekawej litości, uderzyła ją bowiem zmiana wyrazu zbolalej twarzy, i smutek który ją oblekał.

Zaraz przez sień był wesoły Stasia pokoik, cały ubrany w zabawki i książki, w sprzęt studenta i dziecka. we wspomnienia wsi i lasów, w kwiaty, narzędzia gospodarskie. w mnóstwo fraszek prostych, które do nabycia jakiejś wiadomości, do jakiegoś wiodły zajęcia. Znać tu było że dziecko nie próżnowało i nie zamęczało się. że mu nanka nie będąc lekką, nie obarczała go jednakże. mieszana z mnóstwem zajęć sposobiących zawczasu do czynnego życia. Tak obok książek i globusów, obok papierów i kałamarzy wisiało też siodełko, leżał rydelek i motyka, stały ogrodnicze, myśliwskie, rybackie i rolnicze narzędzia. Ogromny wyżeł powitał na progu wchodzących i polizawszy po rękę starca i dziecko. poszedł znów położyć się w swoim kątku. Drzwi na wpół otwarte wiodły ztąd do chaty Hrycia.

Tak! była to chata zrobiona z izdebki umyślnie przebranej. Wszystko w niej przypominało wieśniaka: proste ławy, stół dębowy, cebrzyk z wodą w kątku, na policach garnuszki i kobiałki, tapczan zamiast łóżka, świty wiszące na kołkach. Tylko wielki obraz na ścianie dziwnie odbijał przy teni co go okrażało. choć prosta dębowa otaczała go rama. Był on jakby oknem, przez które mógł Hryć spojrzeć gdy mu się zrobiło tę-



skno, na Stare. Malarz utworzył precudny widok tej wioski. z chatą Hrycia na przedzie, z kościółkiem, zamczyskiem i sinemi w dali lasami.

— To pamięć o mnie dobrej mojej pani, to jej pie-szczoty, — rzekł stary ze łzą w oku wskazując na to co otaczało.

Dziecię pozostało ze psem i chłopakiem. swoim towa-rzyszem w pierwszej izdebce. Juljusz usiadł na ławie obok Hrycia.

— A! srodzebo mi tęskno w tem mieścisku. — mó-wił Soroka — nie mój to świat, a przypomina mi długie lata cierpienia. Trzeba było takich obowiązków jak moje względem tego dziecka, hym tu mógł pozostać i wy-trwać; ale też gdy Stasia w świat puszcze a potrzebo-wać mnie nie będzie, o! jakże żwawo, pieszo. o kiju, do mojej chaty ucieknę!

Juljusz smętnie się uśmiechał.

— Widzisz mój pocziwy nauczycielu. — rzekł, — że są na świecie nieuleczone przywiązania jak twoje; i cierpienia na które nie ma ratunku.

— Przypomnij sobie kochany uczniu, że kto świat inaczej odgadł jak cierpieniem, ten go nigdy nie pozna i nie zrozumie. Właśnie w tem głównie bije w oczy boskość nauki Zbawiciela. że ona jedna cierpienie uświęca, dając mu cel i wskazując je jako przeznaczenie czło-wieka. Nowa filozofja która mu obiecuje postęp nie-ograniczony, aż do edeńskiego bytu, łudzi tylko i męczy, bo mu nie daje nic rzeczywiście a przyrzeka zbyt wiele. Cierpienie jest złem dla zwierzęcia... dla człowieka, jako ducha, jest stanem normalnym.

— A jakże w niem i z niem wyżyć?

— I tu Chrystus wielkim przewodnikiem naszym:

cudze cierpienia słodzić, a swoje znosić, oto żywota całego zadanie. Gdyby świat był prawdziwie chrześcijański, gdyby był jedną owiec bożych owczarnią, ciężar żywota nie byłby takim brzemieniem, wszyscyby starali się ulżyć bratu, a nikt nie myślał o sobie. Ludzie sami się dręczą i życie swe czynią nieznośnem.

— Ale cóż możemy przeciwko ludziom?

— Myśmy także częstką tej ludzkości, niech każdy myśli naprzód o swojej poprawie, więcej niż o sprostowaniu drugich i przerobieniu świata; ten rodzaj egoizmu jest mną pozwolony. Niech każdy poprawia siebie, a więcej jednym chrześcijaninem będzie na świecie.

To mówiąc wziął za rękę Juljusza.

— Tyś, — rzekł mu ciszej — bardzo się coś odmienił, wychudłeś, wybladł, posmutniał, co ci jest? przyznaj mi się szczerze, czy znowu miłość?

— Miłość, nie znowu, ale zawsze jedna!

— Jakto? — udając żart ozwał się stary — po dwóch latach też sama jeszcze?

Juljusz się oburzył.

— Raz tylko w życiu kochałem, — zawołał — widzę to teraz... i kocham...

— Bo raz tylko kochać można! — odparł starzec — ale tu, milczmy o tem, nie wymawiaj tego słowa, na-próżnobyś zniepokoił kobietę, która także raz tylko w życiu kochała, ale nie ciebie.

Umieć znieść swoje, byś drugim nie przyczynił cierpienia. Nie życzyłbym nawet żebyś nas odwiedzał, i dla ciebie i dla nas na złyby to wyjść mogło.

To rzekłszy wziął stary za czapkę.

— Pożegnaj Stasia, pójdziemy na przechadzkę na

Zamek, tam się rozmówim swobodniej... ja cię przed nią wytłumaczę z nagłego zniknięcia.

Ze łzą w oku przygasła, Juljusz jak dziecko dając sobą powodować staremu, pocałował Stasia i wyszedł szybko, z sercem ściśnionem. Już byli na progu gdy ich głos znany, ostatni raz brzmiący w uchu młodzieńca, zatrzymał.

— Jakto? panowie wychodziecie? dokądżeto?

— Ja go przeprowadzę, — odpowiedział szybko uprzedzając Soroka — trochę się czuje nie zdrów, potrzebuje powietrza i ruchu, przejdziemy się razem.

— Więc, do widzenia, — szepnęła Marja — do widzenia.

Hryć ścisnął silnie rękę młodzieńca, który głosu w piersi na odpowiedź nie znalazł.

Wyszli, a Juljusz oczów już nawet podnieść nie śmiał na okna, z których może patrzała za nim Marja, bo przewodnik szybko go wiódł ku Zamkowi. Tu stauawszy usiedli w cieniu drzew kilku na ławce ustronnej, i oba odetchnęli dopiero.

— Teraz, pomówmy otwarciej, obszerniej, — odezwał się Hryć — kochany Juljuszu, widzę jak cierpisz, ale wolę byś od razu cierpiał silniej chwilę, niżbyś się daremnie uwodził prózną nadzieją, spokój sobie i jej zakłócając. Ty ją kochasz...

— Dziś dopiero wiem znaczenie wielkiego wyrazu... miłość... Tak! kocham ją i na wieki!

— Nie myśl, byś zbliżając się do niej, zyskał co prócz podwójnego cierpienia; znam ją i wiem że nie złamię przysięgi, bo kocha swego umarłego i dziecko swoje, a w sercu jej nie masz próżni, którąbyś mógł zająć. Bóg, wspomnienia, dziecko, zapełniły je całkiem. Chcesz-że

resztę życia spędzić trawiony tą namiętnością bez nadziei, bez przyszłości?

— Nanczże mnie, co mam począć z sobą?

— Niestety! najmędrszy, w prostym, codziennem życiu ludzkim, nie znajdzie innej rady na cierpienie, nad wieknistą i jedyną! Gdy Bóg z raju wygnał człowieka, na srogą boleść tej chwili straszliwej, przechodzącą wszystko co kiedykolwiek ludzkość cierpieć może, dał mu przy karze lekarstwo. To odwieczne lekarstwo służy i dziś na wszystkie boleści, a niem jest — praca!

Juljusz, nie poddawaj się, otrząśnij i pracuj!

— Jak? — spytał naiwnie młody człowiek.

— Jak chcesz bylebyś pracował. Myślisz że i ja nie mam do dźwigania brzemienia mego i że go pracą nie słodzę? A oddalenie od wsi, w mojem krótkim już życiu, mnie tak do niej przywiązanemu? za nicze to masz? myślisz że ja nie kocham tego ziemi kęska. jak ty swój ideał? O! obrachowawszy się nie wiem czyjaby miłość potężniejszą się pokazała, bo nie ma poranku, żeby mi tu dzwony, nie zatętniły w duszy dźwiękiem mojego dzwonka, żeby mi wiatr co przynosi zapachy pola, nie ścisnął serca wspomnieniem wioski, z której ta woń wzlatuje, nie ma ranka, żeby mi zieloność złana rosą nie wyrwała ciężkiego westchnienia za lasami memi. co się tam stroją nie dla mnie, ale cierpię i pracuję i żyję.

— A! to co innego, ty masz przybrane dziecię, które ci staje za przyszłość, masz wdowę, masz nad nią opiekę, masz cel jakiś, a ja?

— Ty masz daleko więcej, bo cały szeroki Boży świat przed sobą, i młodość w dodatku...

Juljusz spuścił głowę na piersi, nśmiechnął się, ale

znać było że słowa te nie zasiały się w jego duszy, odbite od niej upadły marnie. Postrzegł to starzec i westchnął.

— Dopóki tu będziesz we Lwowie, — rzekł przerywając milczenie — przychodź codziennie wieczorem na tę ławkę samotną, spotkamy się tu z sobą, przyprowadzę ci czasem Stasia, będziesz w nim miał pociechę i rozrywkę, we mnie powiernika i doradzcę...

— Dziękuję ci, dziękuję, — obojętnie rzekł Juljusz ściskając podaną rękę dłonią bez czucia — ja z sercem własnem walczyć nie umiem, czuję że ono mnie wkrótce pokona..., którego dnia nie znajdziesz mnie tutaj, nie pytaj się już o Juljusza, ale poszukaj świeżej mogiły na smętarzu, i pomódl się z nimi razem za moją duszę.

To mówiąc powstał nagle i szybko nie oglądając się oddalił, niknąc w tłumie przechodzących.

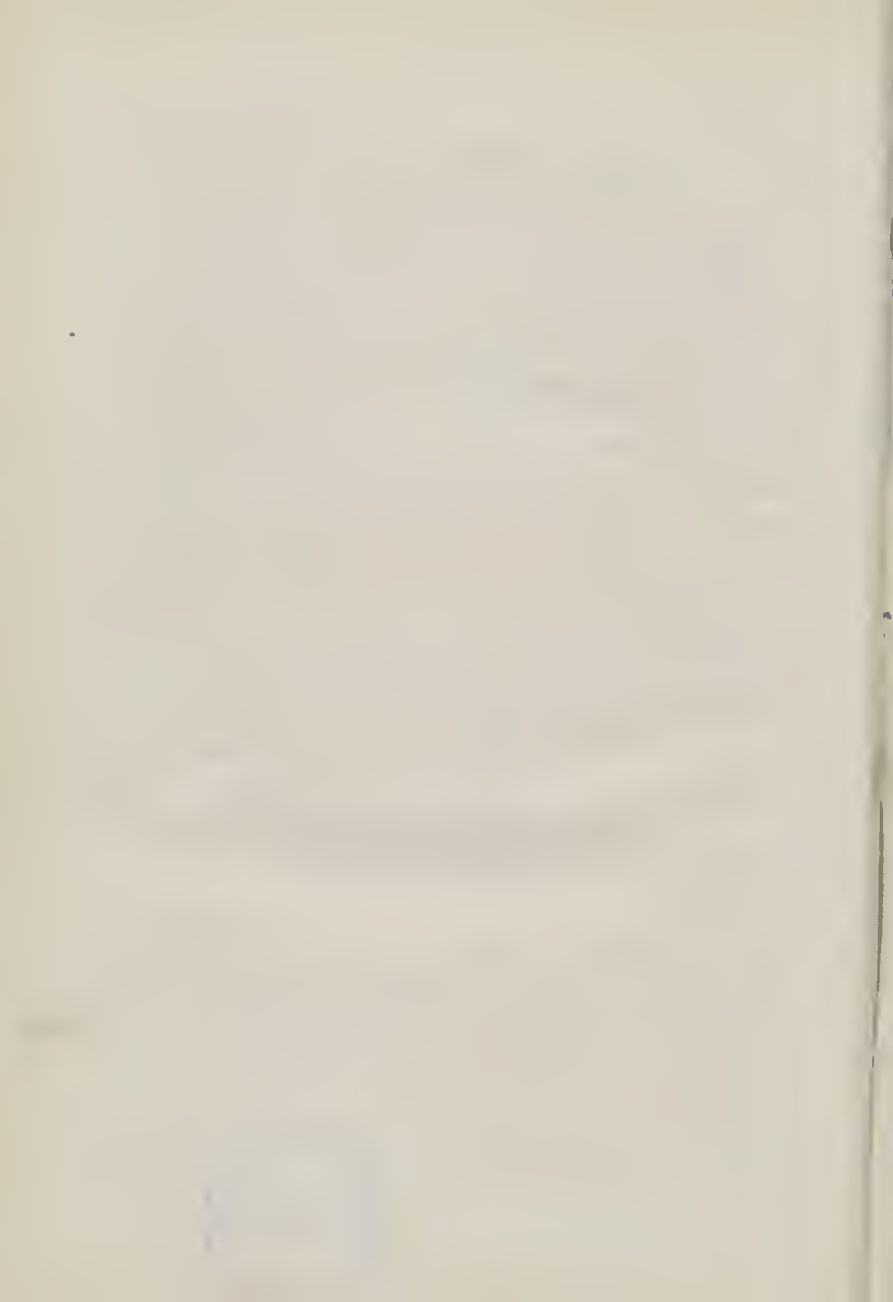
Nazajutrz spieszył Hryć wieczorem na umówione miejsce, nie bez wewnętrznego jakiegoś niepokoju, wyrzucał sobie nawet surowe, zbyt uroże ciężkie rady swoje...

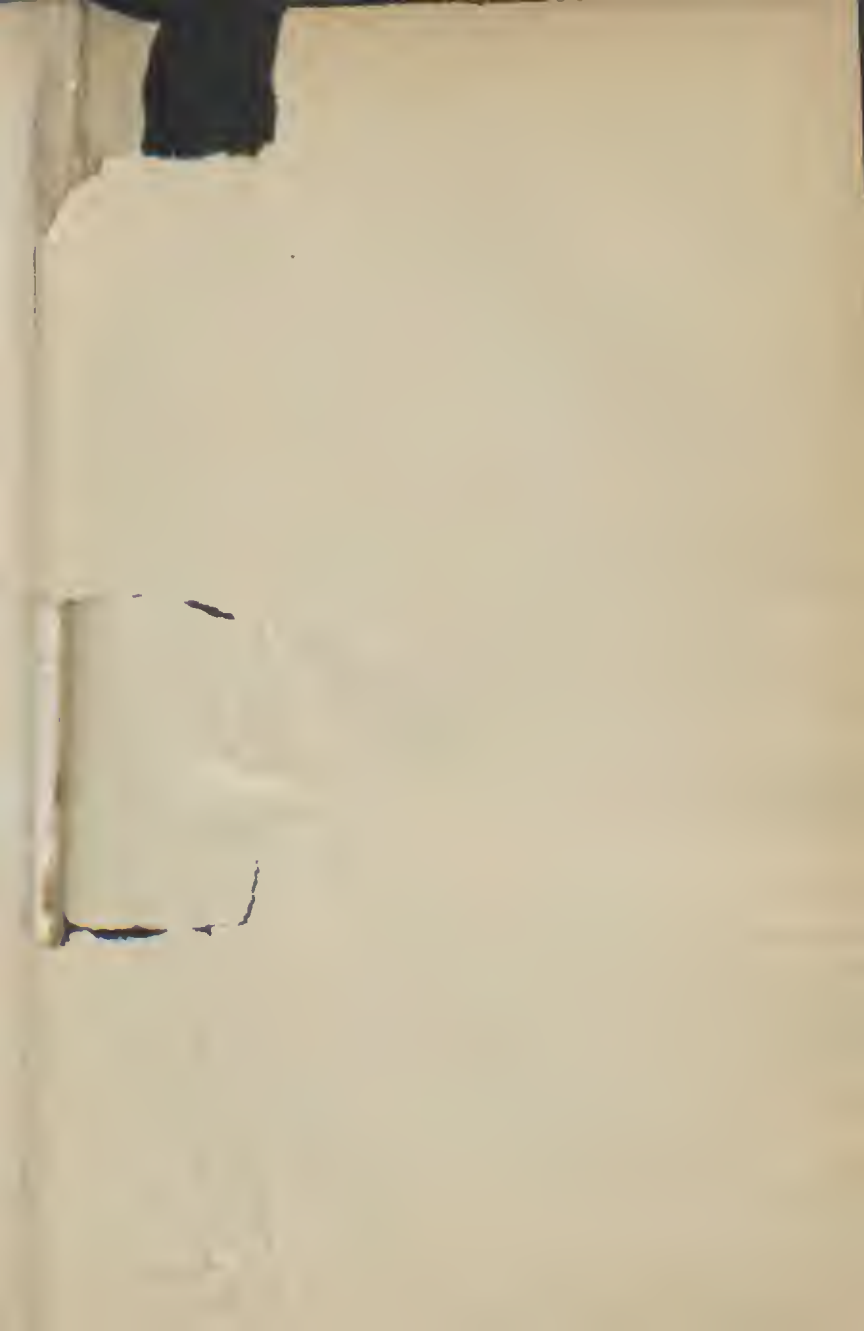
Na ławce nie było nikogo, siedział i czekał do północy, Juljusz nie przyszedł.

Napróżno potem szukał go w mieście i dowiadywał się o niego, gdzie tylko miał nadzieję wieść jakąś pochwycić; nikt nie wiedział co się z nim stało. Tegoż dnia rano wyszedł ze swego mieszkania i już do niego nie wrócił; rozesłali przyjaciele po okolicy, śledzono w mieście, ale nadaremnie.

Marji powiedziano tylko że do swej rodziny odjechał.

K O N I E C.









843

3/3/11

~~90~~

500-

Biblioteka Raczyńskich

JIK 1468



JIK1468